Nr. 16 Rok 5 Kraków, dnia 16 kwietnia 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



W słońcu wiosennym

Fot. Dilian

Powyżej:
Szybko płynąc zbliżają się wozy-amfibie do brzegu. Strzelcy chwytają już za broń, by, skoro tylko koła wozu zetkną się z twardym gruntem ziemi, natychmiast wyskoczyć na ląd i zająć dogodne stanowisko ogniowe.



Na lewo:
Rolf, pies należący do kompanii płynął za swym panem aż do środka rzeki, później jednak zawrócił. Kilka kamieni rzuconych w wodę skłoni go jednak do skoczenia jeszcze raz w zimne fale.



Powyżej:
Na jednym z pierwszych wozów-amfibii, które już dobijają do przeciwległego brzegu rzeki, przepłynął łącznik oddziału wraz ze swym motocyklem.

Na lewo:
Również i silnie zamuloną odnogę wielkiej rzeki przekracza z łatwością wóz-amfibia.

AMFIBIE

Fot: SS-PK. Apfel



Na prawo:
Również i na lądzie wóz-amfibia jest bardzo dogodnym środkiem lokomocji wojskowej ze względu na swą szybkość i zdolność do jazdy po każdym terenie. Na zdjęciu widzimy wóz-amfibię po wylądowaniu. Błyskawicznie zeskakują żołnierze z wozu i spieszą, by wyszukać sobie jakąś osłonę do walki.



Na prawo:
Dowódca oddziału wyszukuje dogodną pozycję dla karabinu maszynowego i daje rozkaz strzelcom, by skierowali ogień na pozycje nieprzyjacielskie.

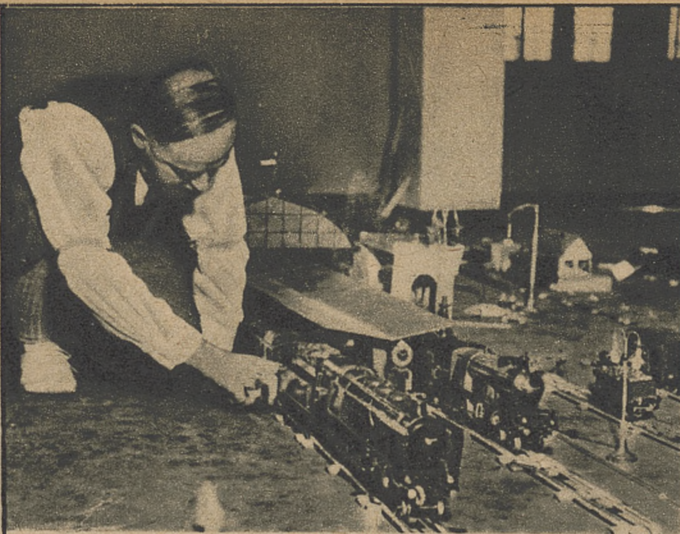
Poniżej:
Karabin maszynowy jest podczas jazdy, każdej chwili gotowy do strzału, gdyż zabezpiecza on przeprawę oddziału.

WOZY-AMFIBIE PODCZAS ĆWICZEŃ

Paszcze armat prażą wciąż huraganowym ogniem brzeg rzeki zajęty przez wroga, choć trzon sił nieprzyjacielskich wycofał się już na tereny dalej położone, a pozycję na przyczółku utrzymują jeszcze tylko słabsze oddziały ubezpieczające. Ponad wodą unosi się mleczna mgła, sztucznie wytworzona przez miotacze i zasnuwa horyzont nieprzejrzystą zasłoną, uniemożliwiającą obserwację niemieckich stanowisk. Następuje najdogodniejszy moment do natarcia na wroga. Pada rozkaz: Wozy-amfibie przeprawią się przez rzekę! Zręcznie i sprężyście, jak szatani, skaczą żołnierze na wozy dotąd ukryte w zaroślach przybrzeżnych; rozlega się warkot motorów puszczonych w ruch i wozy zjeżdżają jeden za drugim po stromym brzegu rzeki do wody. Skoro tylko koła straciły twardy grunt lądu, śruby zaczynają pruć wodę i wóz, co dopiero toczący się po lądzie, zamienia się w łódź płynącą wartko po wodzie. Oddziały motocyklistów lądują pierwsze; żołnierze z trudem utrzymują równowagę jadąc po grząskim gruncie na swych motorach, które przewieźli również na wozach-amfibiach. Teraz dopiero otwiera ogień nieprzyjaciel. Na wodę sypie się grad pocisków, świst granatów przeszywa powietrze. Odpowiada im niemiecka broń. Strzelcy obsługujący karabiny maszynowe biorą na cel obiekty nieprzyjacielskie, a kierowcy wozów-amfibii wypatrują dogodne miejsca do lądowania. Już przednie koła ślizgają się w mule przybrzeżnym i pierwsi grenadierzy skaczą w wodę sięgającą do kolan, a następnie brodząc w mule wspinają się na brzeg strzelając równocześnie, i, w końcu, w walce wręcz niszczą wroga. Wszystkie już wozy-amfibie dobiły do brzegu. Niejeden z nich padł ofiarą zaciętej obrony nieprzyjaciół i niejeden utknął w grząskim szlamie przybrzeżnym, ale większość wylądowała szczęśliwie i walczy. Po krótkim zmaganiu się nieprzyjaciel zostaje odrzucony. Rozkaz wykonano. Raz jeszcze szybkie wozy-amfibie złożyły dowód swej użyteczności.

PRZECHODZĄ RZEKĘ







Czy, mówiąc szczerze, i to „z ręką na sercu" jeszcze, jest pod słońcem możliwym zobaczenie „takiego typa" — który by nie miał jakiegoś szczególnego zamiłowania, któremu poświęca maksimum swych zainteresowań, które stanowi, by tak rzec popularnie, jego „bzika"? Wątpliwą bardzo jest rzeczą, by znalazł się takowy „wyrodek"! Chociaż bowiem twierdzić będziemy nawet uparcie, iż żadnych a żadnych „specjalnych" upodobań nie mamy, wiemy przecież doskonale, że tak faktycznie nie jest i że nikt w to nie uwierzy. Od najmłodszych wszakże już lat objawiamy wszyscy pociąg do pewnych zajęć czy też czynności, spychających niejako w cień wszelkie inne; myślimy o nich nieustannie niemal, spieszymy się do nich zawsze, zapominamy przy nich „o całym świecie", są dla nas czymś najważniejszym i najumiłowańszym w życiu. Rozróżniamy jednak na tym polu dwa rodzaje takiego „pasjonowania" się. Albo oddajemy się zajęciom czy czynnościom szczególnie umiłowanym „osobiście", to jest z punktu widzenia własnej pracy fizycznej lub umy-

Na lewo u góry: **„TATUŚ BAWI SIĘ KOLEJKĄ . . . !"**
Powiedzonko małego smyka ma tu pełne uzasadnienie . . . Tatuś istotnie siedzi na podłodze i... puszcza kolej po szynach! Biedny tatuś... Od dawna — tak mu się stało?... O, od bardzo dawna, chyba od zawsze, bo tatuś jest poważnym konstruktorem-modelarzem, doskonale obeznanym z techniką, a kolejnictwo, to jego specjalna słabość...

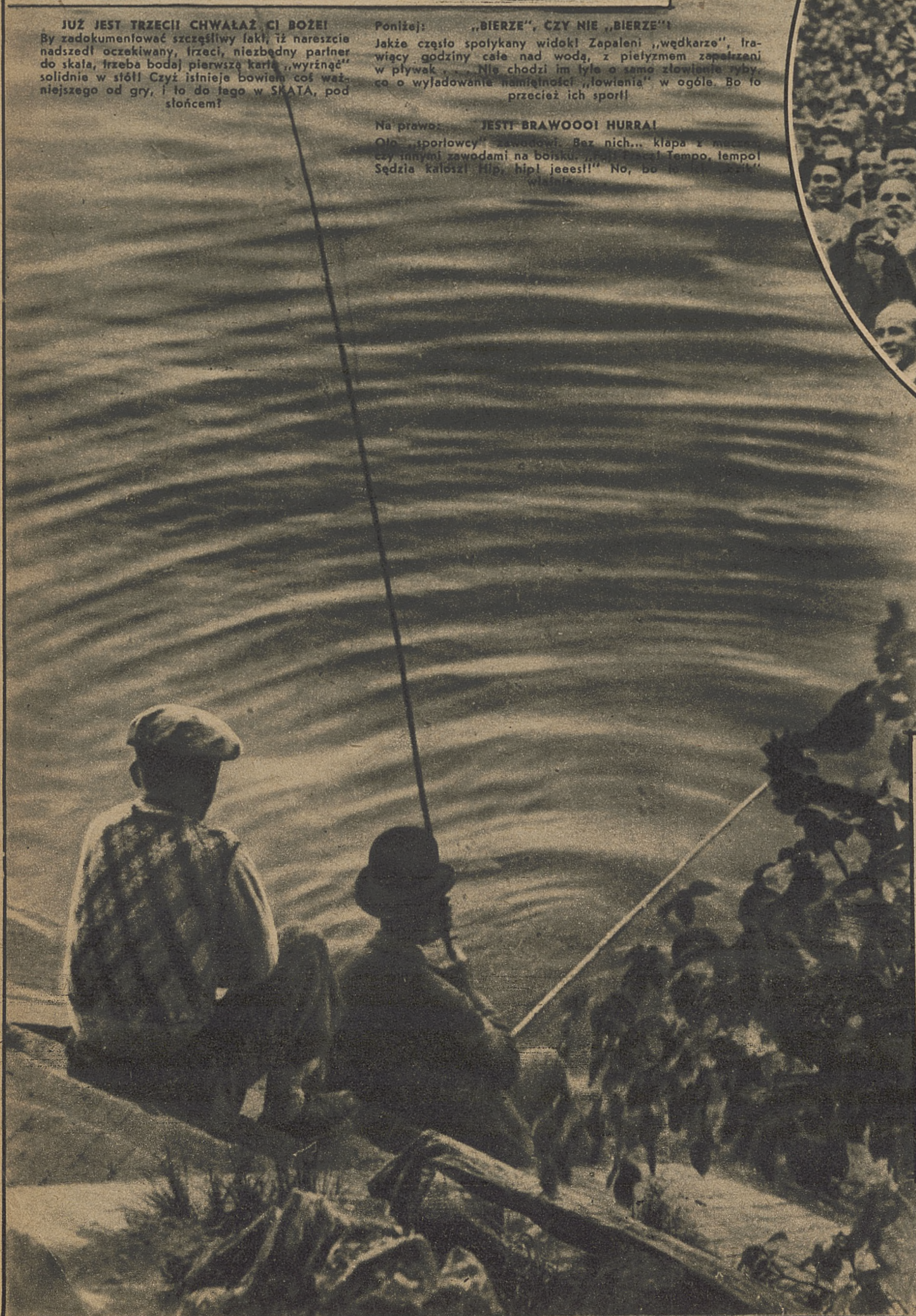
Powyżej: **KIEDY ZAPADA ZMROK . . .**
. . . wówczas dwoje tych małżonków w muzyce szuka wytchnienia i umilenia chwil. Nie ma się czemu dziwić. Każdy ma swe zamiłowania.

Na prawo u góry: **W SAM ŚRODEK TARCZY, RAZ PO RAZU!**
Ba! Toć nie sztuka wziąć pistolet i wystrzelić! Ale, trafić, to trudna sprawa!

JUŻ JEST TRZECI! CHWAŁAŻ CI BOŻE!
By zadokumentować szczęśliwy fakt, iż nareszcie nadszedł oczekiwany, trzeci, niezbędny partner do skata, trzeba bodaj pierwszą kartę „wyrżnąć" solidnie w stół! Czyż istnieje bowiem coś ważniejszego od gry, i to do tego w SKATA, pod słońcem?

Poniżej: **„BIERZE", CZY NIE „BIERZE"!**
Jakże często spotykany widok! Zapaleni „wędkarze", trawiący godziny całe nad wodą, z pietyzmem zapatrzeni w pływak . . . Nie chodzi im tyle o samo złowienie ryby, co o wyładowanie namiętności „łowienia" w ogóle. Bo to przecież ich sport!

Na prawo: **JEST! BRAWOOO! HURRA!**
Oto „sportowcy" zawodowi. Bez nich... klapa z meczem czy innymi zawodami na boisku. „[illegible] Precz! Tempo, tempo! Sędzia kalosz! Hip, hip! jeeest!" No, bo to [illegible] „bzik" właśnie.





Na prawo w kole: **JAKŻE TAM NIE WSADZIĆ RĘKI!**
Akwarium — niby nic nadzwyczajnego. Zgoda! Atoli w tym akwarium są rybki, rybeczki, rybiątka . . . Czy nawet do takich „cudów" w obcym mieszkaniu nie korci zaglądnąć i złapać na chwilę rybkę? Tylko akwarium! Nic ponad to!



STRZAŁ BYŁBY WSPANIAŁY, ALE . . .
. . . ale w gorącym zwolenniku polowania drgnęła nagle jakaś dawno zapomniana nuta . . . Zamiast napiąć kurek — przygląda się lornetką przy oku idyllicznemu vis à vis . . . Niech się pasą, było nie było! Zapolujemy gdzieindziej!

Powyżej na prawo: **JAKŻE TO KTOŚ ZROBIŁ!!**
Model okręciku we flaszce, ładna rzecz! Pewnie, że ładna, lecz trzeba go było tam po kawałeczku wkładać i kleić wewnątrz butelki, a to też „ładna zabawa", dla nie mających cierpliwości. Może każdy spróbować. Co? Lepiej nie?



Fot. Scherl



„JAKI OJCIEC . . . TAKI SYNALEK!"
Proszę nie brać przysłowia w ujemnym znaczeniu tutaj! Obaj mają tylko „pasję" do filatelistyki. A że ojczulek nie wyzbył się jej do tej chwili nawet, i pomaga „dziedzicowi" swych upodobań w kompletowaniu zbiorów — trudno, to już rodzinne . . .

łowej z danym upodobaniem związanej, albo wystarcza nam samo ylko zainteresowanie, jakim specjalnie darzymy tę albo inną zyjąś czynność, pracę, przedsięwzięcie. Ha! Któż nie zna „zapaonych" sportowców, dysputujących namiętnie o meczu, automoiliźmie, ringu bokserskim, wioślarstwie, wszelkich „zawodach" — najacych się par excellence na wszelkich sprawach ze sportem wiązanych, nie biorących jednakowoż nigdy personaliter udziału v żadnym sporcie w ogóle . . . Takich jest legion cały, pasją ich est bezsprzecznie któraś z gałęzi sportu ale pasja to nie istotna, ie rzeczowa. Co innego ktoś, komu nie obcym jest przedmiot ainteresowania specjalnego z tytułu „brania się z nim za bary" . . .! znowu w tym stadium rozważań ludzkich zamiłowań musimy ciśle odgraniczyć pracę dyktowaną szczerym a szczególnym zamiowaniem, pracę pożyteczną czy choćby logiczną od usiłowań maiackich, symbolem których jest i pozostanie idée fixe — perpetuum nobile . . . Że dojść można do bajecznych rezultatów na drodze „bzia" do tej czy innej rzeczy, o tym przekonywać nie potrzeba. Sławny ilka lat temu mistrz Olimpijski (1936 r.) van Oyen, doszedł do zwyięskich laurów w strzelaniu z pistoletu żmudnym szlakiem wytrwaości. Lata całe wstawał o 4 godzinie świtem, by ćwiczyć się w pukaniu lo celu. Żona jego, kobieta obdarzona sporą dozą niefrasobliwego humoru, pełna wyrozumiałości dla mężowskiego „smyrla", umieściła ad jego łóżkiem napis o następującym brzmieniu: „Tu spoczywał mój nąż, zanim został pistoletową sławą" . . . Zamiłowanie szczególne staje się zęsto także bardzo pożytecznym dla ogółu. Dochodzi się do ulepszeń, vpada się na nowe pomysły twórcze, wykrywa wady, słowem — nie traci ię na próżno czasu. Wieluż badaczy natury, dzięki których „pasji" do hodowania owadów, obserwacji czynionych na nich, zbierania nasion i grzybów agód, ziół itp. dochodziła nauka do rewelacyjnych niejednokrotnie odkryć nowych perspektyw. Co często-gęsto nie powiedzie się fachowcowi, wpada na o nieraz przypadkiem zwyczajny laik, właśnie gmerając, dłubiąc, próbując niemordowanie — bo z zamiłowaniem. Zbieracze znaczków pocztowych, numizmatycy, vszelcy kolekcjonerzy dzieł sztuki i im podobni, to niby na pierwszy rzut oka też dziedzicznie obciążeni" pasją ludzie, a przecież jakże w rzeczywistości pożyteczni obeznani niekiedy „perfekt" z przedmiotem swych zamiłowań osobnicy, służący hętnie radą i wskazówkami istotnie rzeczowymi i cennymi.

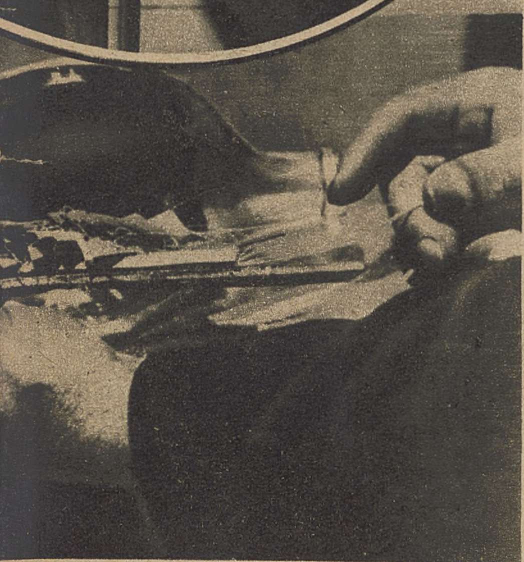
Na prawo:
JESZCZE TYLKO DZISIAJ SKOŃCZYĆ Z ALTANĄ! . . .
Cały wolny czas poświęca ten solidny, starszy pan, swemu ukochanemu ogródkowi. By ktoś w nim coś robił, prócz niego, nie daj Boże! Nawet malowanie własnoręcznie wzniesionej altanki, też tylko „do niego" należy!

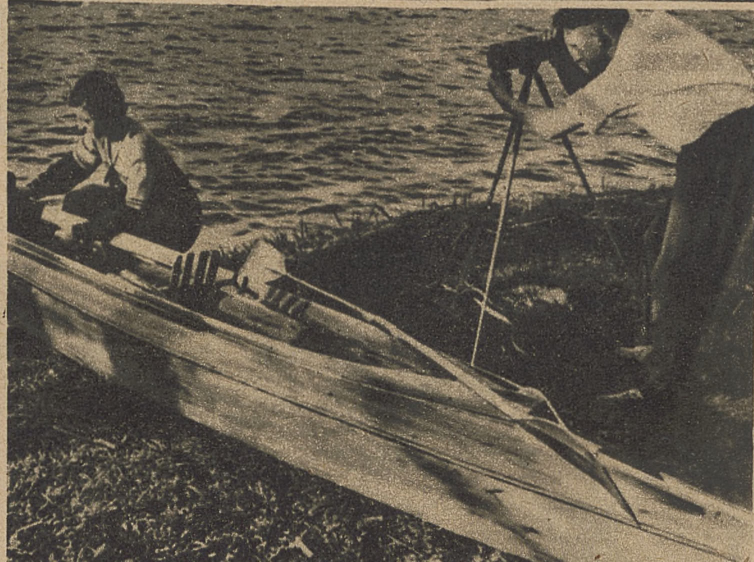
Na prawo:
CZY „TEN" MOŻE MA PRZYPADKIEM... MYSZKI!
Niby w starannie prowadzonym archiwum ważnych dokumentów, widnieją pieczołowicie posegregowane i powiązane... Listy entuzjastek i wielbicielek stojącej na drabinie „sławy"... W każdym prośba o autograf, czy więc nie warto chować dowodów „takiego kultu"?!

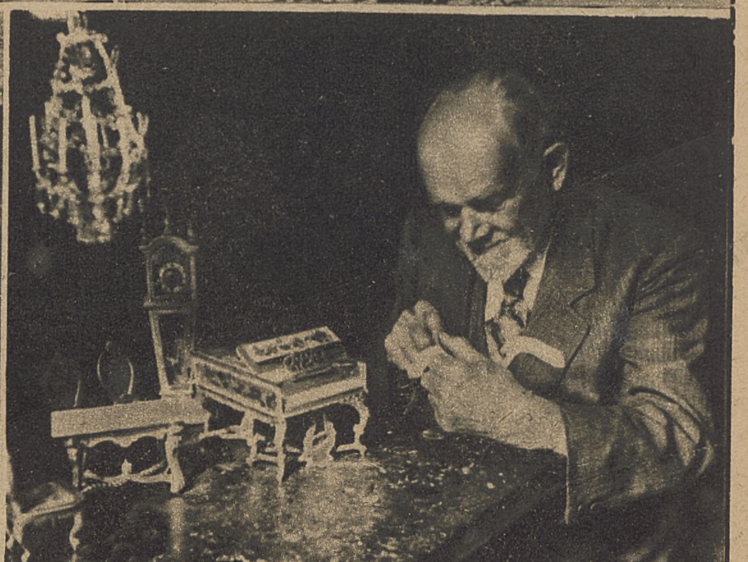












Przeróżnych przykładów zamiłowań ludzkich znaleźć można olbrzymią ilość. Jedne przynosiły sławę, majątek i pożytek ogólny, inne przydawały miana dziwaka, wariata, fantasty . . . Prawie wszyscy wielcy odkrywcy i naukowcy mieli swe upodobania, naginające ich usiłowania w pewnym określonym kierunku, a nie stałoby chyba tutaj miejsca na wymienienię nazwisk tych jakże wielu „maniaków", których „bzikowi" ludzkość zawdzięcza tak wiele . . . Zamiłowanie winno też być ostoją naszych dni, zapomnieniem trosk i trudów, ale niech nie staje się nigdy osią dokoła której obracają się wszystkie bez wyjątku nasze myśli i poczynania, bo wówczas zamiast być dla nas dobrodziejstwem stanie się ono udręką i „klinem", którego niekiedy żadna moc wybić nie będzie w stanie.

ZAWSZE I WSZĘDZIE Z KAMERĄ!
Można w ogóle żyć bez aparatu fotograficznego? I, gadanie! Można dużo znieść, ale nie można nie mieć fotografij z każdego swego kroku! To dopiero przyjemność i czar wspomnień! A własnoręczne „wywoływanie" w ciemni? Ha! To dopiero raj!
Na prawo:
MEBELECZKI DLA . . . LALECZKI!
Wieleż żmudnych chwil, ale zadowolenia pełnych, poświęcić trzeba, by skonstruować rozmaite przedmioty nas otaczające, lecz . . . w liliputich wymiarach! To już nie praca fachowca, ale pasja, jak wiele innych... Jest ktoś może innego zdania?

KULA ZIEMSKA ubiera sukienkę

Dzisiejsze czasy skłaniają nas do częstszego niż zazwyczaj interesowania się nie tylko mapą, ale też kulistym „facsimile" naszej poczciwej, starej Ziemi, znanym pod ogólnie przyjętą nazwą globusu. Sino-niebieskie połacie mórz i oceanów, bezmiary pustyń Afryki, przestrzenie Azji czy szlaki Ameryki — to wszystko „jakoś inaczej", bardziej interesująco nawet, wygląda na globusie właśnie. Hm, a wie ktoś, tylko tak naprawdę, bez cygaństwa, jak wyrabianymi bywają fabrycznie globusy? Najpierw więc muszą powstać zasadnicze kształty fabrykowanych „światów", czyli kule. Ba! To nie idzie tak prędko, jakby z rękawa wytrząsnął... Olbrzymie kadzie z papką powstałą z odpowiednio na ten cel przygotowanej tektury są pierwszym „elementem twórczym". Gdy papka zgęstnieje odpowiednio, wlewa się ją do specjalnych form, aby pod działaniem maszyn wytłaczających otrzymać z niej „surowe" półkule z masy papierowej. Półkule takie, zespolone koleją rzeczy z sobą, dają już „ziemski glob" ale... z kształtu na razie tylko. W odpowiedniej podziałce do wielkości danej „kuli" narysowaną mapę, trzeba przerysować, by można ją było pociąć na paski wzdłuż stopni długości geograficznej, a potem jak najprecyzyjniej naklejać na kuli. Następnie powleka się globus przejrzystą, szklistą substancją, nadającą mu połysk i chroniącą naklejoną mapę. Na punktach biegunowych globów wierci się otwory i przez nie przechodzi pręt metalowy, ziemska idealna oś, umocowana w półkolistym wygięciu stojaka. Na biegun północny nakłada się przejrzystą płytkę merydialną z podziałką godzinową i teraz ześrubowany globus dopiero jest gotowy do użytku.

Na prawo: Rozcinanie na części zadrukowanej mapy świata.

Powyżej: Różnej wielkości globusy opuszczają warsztat, a każdy z nich jest kompletną miniaturką naszej planety.

Na prawo: Naklejanie mapy świata na kule z tektury. Zajęcie to wymaga dużej staranności, gdyż poszczególne części mapy muszą jak najdokładniej odpowiadać sobie.

Poniżej: Kula ziemska w miniaturze.

W związku z najnowszymi komunikatami podawanymi w gazetach, starzy i młodzi studiują globus, by zorientować się co do położenia miejscowości aktualnych w danym momencie.

Fot: Sedlar

Zagadka

napisała Marianna

2 ciąg dalszy

Wśród ustawionych w kąciku kilku, nierozkorkowanych nawet flaszek, znalazł jedno stare, dość wytrawne Cherry a nie znalazł czerwonego burgunda, który pijało się zawsze u Eweliny. Bateria nie pochodziła więc z zapasu Wichertów . . .

Brunona coś tknęło:

— A . . . pani mi wybaczy niedelikatność . . . czy pani Ewelina wyasygnowała pani tak znaczną kwotę, żeby . . .

Dziewczyna zmieszała się widocznie. Cień rumieńca wypływał od skroni ku policzkom.

— Niech pan będzie spokojny. Jeżeli nawet suma, powierzona mi przez panią Wichertową na te wydatki, nie wystarczyła na wszystko, zaliczę pani Ewelinie do rachunku. Pani Wichertowa obiecała mi poza tym pewną pomoc finansową za tę przysługę wyświadczoną państwu . . .

Od początku nie wyobrażał sobie tego inaczej. Ale coś go zmroziło . . . tej kobiecie płaci się i za gościnność i za stracony czas i za każdy miły uśmiech . . . Jak kelnerce z restauracji . . . Czegóż chciał? Czego się spodziewał? Dlaczego myśl o tym miała wpłynąć na jego humor? . . .

Nie mógł dopuścić, żeby Ewelina pokrywała koszt całej tej niefortunnej przygody . . . A mała, sprytna osóbka Bóg wie co jej policzy w rachunku! . . . Taka wystawna, niepotrzebnie kosztowna kolacja . . .

Chciał dyskretnie położyć na komodzie zwinięty papierek stuzłotowy — ale niewiadomo dlaczego zbudziła się w nim dziwna chęć sprawienia przykrości towarzyszce, wywołania znowu rumieńca na bladą twarzyczkę:

— Pani pozwoli, że sfinansuję . . . Przecież do mnie raczej powinny należeć koszta . . .

— Ale pani Wichertowa . . .

— Och! Pani Wichertowa nie będzie miała o to pretensji, że się jej zaoszczędzi wydatków — powiedział. Znał piękną bankierową i jej rozkoszny pęd do oszczędności . . . — tutaj położę sto złotych . . .

Zmilczała. Nie powiedziała, że za dużo. Powieki przykryły oczy i zadrgały jakby spłoszone szelestem banknotów.

— Czy pani mię zna?

— Naturalnie, że wiem, kto pan jest. Znam pana książki i jestem dumna, że mogę przyjąć pana u siebie. Ale u mnie tak brzydko. Myślę, że jednak tu przyjemniej, zaciszniej i bezpieczniej, aniżeli w szafie, gdzieby według wszelkich prawdopodobieństw ukryła pana pani Wichertowa przed szpiegującym małżonkiem . . . ?

Uwaga była dość śmiała, poufała, ale nie zdawała się być taką, rzucona swobodnie z czarownym uśmiechem. Ale ma tupet ta mała! . . .

— Bezwzględnie. Jesteśmy oboje z panią Wichertową bardzo zobowiązani wobec pani. Ale sprawiliśmy pani tyle kłopotu . . . Widzę, że pani śpiąca a tu nieproszony gość siedzi.

— Trudno! Jest tylko jeden pokój. Zresztą mnie to, przyznam się, bawi. Ten detektyw, śledzący pana jest moim znajomym . . . i zostanie wywiedziony w pole. Obiecywał sobie tyle zarobków i awansów z chwilą, gdy dostarczy Wichertowi dowodów obciążających małżonkę. A tymczasem ja a nie on zarobię na tym.

Znów odczuł przykrość. Niezrozumiałą.

— . . . no i bardzo się naprawdę cieszę, że pomogłam państwu.

— Jest pani nieocenioną sąsiadką. Czy może jest pani przyjaciółką pani Wichertowej?

Chochlik łobuzerskiej wesołości przemknął po twarzy kobiety:

— Bynajmniej.

Małe słówko kazało się zastanowić nad tonem, jakim zostało wypowiedziane. Było jakby pełne wymowy . . .

A potem dorzuciła z dziwnym uśmieszkiem:

— To nie kaprys z mej strony. Chciałam przez to coś osiągnąć . . . Dla siebie.

„Myśli pewnie o pieniądzach — Ewelina obiecała na pewno jej to dobrze wynagrodzić". Zastanowiło go teraz co innego:

— Czy nie będę zbyt zuchwały, gdy spytam o pani imię?

— Iwonka — odpowiedziała znowu jednym tylko słowem. Ale dźwięk rzadkiego, oryginalnego imienia zabrzmiał tak słodko i mile. Smukła, młodziutka dziewczyna z wielką zmierzwioną czupryną roztopionego złota nad czołem, właścicielka mądrych, pogodnych oczu i tego maleńkiego, zimnego mieszkania — nie mogła nazywać się inaczej.

Pochyliła się do kominka, w którym przedtem rozpaliła ogień. Czerwone, skaczące płomienie rzuciły jaskrawy odblask na delikatny zarys profilu. Bruno nie chciał analizować wzruszenia jakie nim owładnęło . . . Podniósł się bezszelestnie i zbliżywszy się do komody obok stuzłotowego banknotu położył jeszcze dwa takie same. Nie wiedział, co za impuls kierował tym jego krokiem? Może to w podzięce . . . a może podświadomie zaczął sobie coś obiecywać po tym dziwnym wieczorze?

— Ciekawam, co będzie pan sądził o mnie? — spytała sennie, jakby sama siebie dziewczyna ciągle pochylona ku ogniowi.

Czy usiłował to sobie tylko wmówić — czy naprawdę w tonie jakim zwracała się do niego była nuta jakby kpin, ukrytej drwiny, może tylko przekomarzania? Było to w każdym razie zastanawiające — — — drażniące. Niewytłumaczone.

— Nie wiem — po chwili Bruno odpowiedział na jej pytanie.

Nie wiedział nic o tej dziewczynie. Kim była? Jaką była? Cóż sądzić mógł o niej? Ledwo opanował chęć, by nie podbiec, nie wziąć w ramiona i zmusić do wytłumaczenia i tego uśmiechu i całego jej wobec niego zachowania!

— Powinien pan był powiedzieć mi koniecznie coś milszego na to moje pytanie. Przecież to była jawna prowokacja na komplement. — Oczy zwrócone ku niemu usiłowały być wyzywające, może nawet oburzone . . . i były tylko figlarne i uśmiechnięte.

— Sama pani wie, że jest czarującą osóbką — zaczął Bruno zupełnie ośmielony, poufale kładąc dłoń na maleńkiej jej rączce.

— Jakiś pan przyszedł — zameldował przez drzwi głos kobiecy.

Iwonka zerwała się — — — znów uśmiechnięta.

Popatrzał na nią zaskoczony: — Wichert?

— Na pewno nie! — powiedziała przekonywująco. Była najzupełniej spokojna.

Czesała włosy przed komodą. Gdy odeszła do drzwi — zauważył, że pieniędzy nie było już na niej.

Jakiś mężczyzna był w przedpokoju. Bruno nie mógł dostrzec kto, bo za drzwiami było ciemno. Czuł, że on sam siedząc w oświetlonym pokoju jest widoczny dla obojga. Rozdrażniło go to. Odsunął się z fotelem bliżej drzwi. Usłyszał co mówiono:

— Mam wizytę — powiedziała dziewczyna z progu.

— Co? Nie uwierzę!? — dźwięk męskiego głosu był mu jak gdyby znany.

— Przekonaj się, zobacz, jak nie wierzysz! Teraz idź stąd jak najprędzej! Nie przeszkadzaj i nie szalej z zazdrości! To jest Bruno i to powinno wiele ci tłumaczyć.

Zamienili jeszcze parę słów, czego już dosłyszeć nie mógł. Gwałtowne trzaśnięcie drzwiami (może z pasją?) i dziewczyna wraca bez słowa tłumaczenia na swój fotel przy kominku.

. . . To był ten drugi . . . Widocznie codziennie mała Iwonka urządzała u siebie wieczory zarówno dla znajomych, których mogła w danym wypadku wyprosić od drzwi — i dla nieznajomych, których przyjmowała wykwintną, na ich koszt kolacją. I ten cynizm jej słów! Tylko dzięki temu, że jest słynnym Brunonem, powieściopisarzem i nazwisko jego jest magiczne nawet dla rywali — dlatego tylko ma tu te przywileje i nie on, a ten drugi musiał odejść!

Kobiety zawsze są takie same. U Eweliny spotykał się z tym również. Przejął przywileje i prawa po sławnym rzeźbiarzu Larkorzu, który malował naprawdę udalne akty pani Wichertowej, a na pewno następcą Brunona będzie ten jakiś kompozytor Majerski. A jeszcze w międzyczasie nieraz padało nazwisko tenora Sabasti i kto wie? Taką właśnie była Iwonka. Odgadł ją z jednego powiedzenia. A przed chwilą wszystko wydawało się takie niecodzienne, inne, niż się okazało.

— Kto to był? — spytał ostro, napastliwie.

Rzuciła mu dziwne a nieobecne, zdziwione spojrzenie:

— Czy do mojego dziś obowiązku należy także drobiazgowe zdawanie sprawy z mego życia prywatnego? Może raczej pana tu u mnie obecność domaga się tłumaczenia dla innych osób? — była zirytowana tym jego pytaniem.

— Ma pani bezwzględną rację. Przepraszam — cofnął się zły na tą swoją dzisiejszą niewytłumaczalną nadwrażliwość — pani naprawdę naraża przeze mnie swą opinię! Taka męska wizyta w pani mieszkanku nocą.

— Nie dbam zupełnie o swoją opinię rzuciła krótko.

O! Jeszcze lepiej! Przynajmniej szczera.

. . . Czy nie przepłacił całej przyjemności wykładając z portfela trzysta złotych? Uwzględniając nawet kolację na dwie osoby, płaci się przeważnie taniej za taki wieczór u podobnych kobiet — delikatnie mówiąc — „niedbających o opinię" — — —

Jakże musiał zdawać się jej naiwny, gdy chowała wyłożone banknoty.

— Żebym nie zapomniała o zleceniu pani Eweliny. Prosi, by zaniechał pan na kilka dni wizyt u niej a także telefonów i wymieniania korespondencji. Kiedy pan tylko zechce i uzna za stosowne, proszę stąd wyjść, drzwi nie zamknęłam na klucz. Proszę dość hałaśliwie zachowywać się na schodach, bo piętro niżej na pewno czekać będzie ten detektyw a chodzi o to, by wyraźnie zobaczył z jakich pan drzwi wychodzi. Klucz od bramy pan ma.

— Pani jest senna, Iwonko?

Uśmiechnęła się zagadkowo.

Myślał, że zrozumiał znaczenie tego uśmiechu, gdy powiedziała cichutko:

— Niech pan zgasi światło. Razi oczy.

To było pospolite. O to miał do niej żal. Że tak, jak każda z takich.

Przekręcił kontakt. Poczuł się niepewnie. Coś dziwnego było w tej sytuacji, w tej dziewczynie... choć trzeźwość i jego znajomość kobiet przekonywały go, że wszystko jest najzupełniej zwykłe.

Złote iskry lśniły w ciemnościach na włosach milczącej kobiety. Zdawała się być jakąś nieziemską zjawą, marzeniem wyśnionym gwiezdną nocą, nierealnym zwidzeniem.

Czy prowokowała go swym bezruchem?

— Czy mogę zbliżyć się? — zapytał gorącym szeptem pełen niepokojów, tęsknot jakichś.

Nie odpowiedziała.

— To śmiesznem może będzie w pani oczach, co powiem, Iwonko, ale muszę zwierzyć się właśnie pani. Doznaję takich dziwnych uczuć. To dlatego, że nie znam pani — — a odnoszę wrażenie, że jest mi tak dobrze znajoma i bliska. Jesteś taka inna, Iwonko i nic o sobie nie chcesz mi powiedzieć.

Przerwał. Czuł, że tym co mówi przede wszystkim ośmiesza się sam przed sobą. Cichutko usiadł przy niej i położył rękę na miękkiej czuprynce.

Nie zareagowała. Nie cofnęła się, jak zrobiłaby w takiej chwili każda inna kobieta i nie powiedziała z wymownym spojrzeniem zza rzęs: „— Pan?! —" Nawet nie drgnęła i nie powiedziała tłumionym, rwącym się przez wzruszenie głosem: — „Ach! Jak pan mnie przestraszył!"

Zza uchylonego okna mrugały gwiazdki. Włosy Iwonki pachniały świeżością zerwanych kwiatów.

Żal mu było, że będzie farsą to — o czym myślał teraz . . . właśnie inaczej. Że narzucono mu rolę i będzie musiał grać ją do końca, a tak chciałby właśnie być sobą. Że dla dziewczyny nie jest nikim więcej niż każdy z brzegu przechodzień. Cóż. . . piękny literat z którym traf (a może jej przebiegłość?) pozwolił przeżyć ciekawą przygodę.

W jej odchyleniu głowy na poręcz fotela było coś z dziecinnego bezwładu, czy całkowitego oddania się. Łuk podgiętych w górę rzęs krył w zmrużonych oczach wyraz kokieterii, czujnego, drażniącego oczekiwania . . .

Nachylił się i ucałował jej usta. Były suche i chłodne. Nie oddały pieszczoty. Nie drgnęły, nie rozchyliły się. Były nieświadome złożonego na nich pocałunku. Głęboki, równomierny oddech dziewczyny upewnił go już ostatecznie, że spała. — Najprawdziwiej, ufnie, głęboko. Zasnęła znużona niewątpliwym wysiłkiem całodziennej pracy, widniejącym w szarym szerokim cieniu pod oczami, senna po wypitym wybornym trunku, rozgrzana ciepłem z kominka. Zasnęła, nie troszcząc się zgoła o nieproszonego gościa, który zapłacił trzy setki za prawo obecności w jej ciasnym pokoiku. Tylko nieaktywnej obecności . . . robiącej jednak wiele kłopotów bo pozbawiającej ją możności wyciągnięcia się w wąskim, panieńskim łóżeczku. Nie wiedział czy śmiać się, czy być wściekłym. Drwił z samego siebie, z intuicji, o której sądził, że nie zawiedzie go nigdy wobec żadnej kobiety . . . z problematyczności sądu jaki wydał był o Iwonce, ze swych wzruszeń, ze swoich nadziei — a najbardziej z niedającego się pokonać uczucia zawodu.

Okrył nogi śpiącej ciepłym pledem, zdjął z maleńkich stópek podniszczone lakierki. Dorzucił do kominka polana i przymknął okno.

Nie żegnał tak nigdy żadnej kobiety. Nie myślał o żadnej z taką opiekuńczą serdecznością jak o złotowłosej Iwonce — gdy cicho przymykał za sobą drzwi jej pokoiku.

Na schodach było ciemno. Schodził ostrożnie. Nie myślał zupełnie o sprawie Wichertów. Ale zmuszony był wrócić myślą do tej kwestii, gdy z framugi drzwi na pierwszym piętrze, ktoś rzucił mu w oczy snop światła z ręcznej latarki.

— A! Pan Bruno! Skąd pan schodzi u licha? Psiakrew, halucynacje, czy co?

— Pan wybaczy . . . Nie rozumiem . . .

— Ja tym więcej. Jestem detektywem trzeciego rewiru — mignął policyjną odznaką na odchylonej klapie płaszcza.

— Aaaa, z polecenia pana Wicherta . . . Czekaliście na mnie . . .

— Czekałem, rzeczywiście na pana. Ale, na Boga, według moich obliczeń z innych drzwi miał pan wyjść . . .

— Liche obliczenia, drogi panie. A jeżeli już tak bardzo interesuje pana moje życie prywatne, to muszę się zwierzyć, że mam przyjaciółkę piętro wyżej. Żegnam! — Niedbale dotknął dłonią ronda kapelusza i nonszalancko poszedł naprzód.

„Świetnie, udało mi się sprawić tego nasłanego szpicla! Wyobrażam sobie jego minę jego zdumienie! A Wichert?

Zastanowił się. Zawrócił.

— Drogi panie, żebyś pan nie był znów tak bardzo poszkodowany, pozwolę sobie pana zaprosić na jutro . . . a, to znaczy na dziś, bo już po dwunastej, zaprosić na małe śniadanko do „Esplanady" na przykład. Chętnie się dowiem, jakie to są knowania przeciw mnie i jakie zastrzeżenia co do moich wieczornych wizyt. To ważne dla mnie, a pan wie wszystko. Przyjmuje pan moją propozycję?

Gdy przedstawili się sobie, wypalili papierosa i uzgodnili porę i miejsce spotkania wyszedł z bramy słysząc jeszcze za sobą słowa, oddalającego się w przeciwnym kierunku, pracownika policji:

— Tak się dać nabrać . . . tak się dać okpić . . .

Bruno nie kładł się już spać. Przesiedział tych parę godzin z papierosem w ustach i z upartą myślą o ostatniej swej przygodzie. Nie była z szeregu pospolitych. A już najciekawsza była jej bohaterka.

Co to jest za kobieta? Zagadka.

Dobrze, że przygoda nie jest jeszcze definitywnie skończona: rozmowa z detektywem, za kilka dni spotkanie z Eweliną — muszą dużo rzeczy wyjaśnić. Ale — cóż to jest, żeby on sam kwestii z miejsca nie wyjaśnił, nie ustalił do jakiego gatunku kobiet zaliczyć małą Iwonkę? Oto problem.

Nie dalej jak wczoraj, skarżył się... zaraz gdzie to było, ach, w redakcji „Tygodnika" ...że dla niego nie może zaistnieć żaden problem, że nic nie potrafi go zająć ani podniecić... Otóż właśnie ma taką zagadkę, ma wrażenia, ma przygodę. Musi wyjaśnić. Zanim jeszcze pomówi z detektywem Wiolińskim i zanim wreszcie będzie mógł uzyskać audiencję u Eweliny — ma najprostszą drogę do rozwiązania dylematu: Pójdzie znów do Iwonki. Wie, gdzie mieszka. Nie ucieknie mu. Ale czy zechce sama coś o sobie powiedzieć? No to i tak będzie wiedział wszystko, choćby miał skorzystać z usług detektywa. Musi dociec, czym się zajmuje, w jakim środowisku się obraca, co o niej mówią.

Pójdzie do niej zaraz rano.

Nie mógł doczekać się godziny siódmej. Na pewno wstawała już tak wcześnie i wychodziła do pracy

Zapyta jak się spało małemu śpioszkowi . . . Zamówi dla niej kwiaty w kwieciarni, gdy będzie przechodził. Ucieszy się, gdy jej przyślą taki duży kosz . . . na przykład białych goździków. Anonimowo . . . Piękne kwiaty zapełnią pustkę mieszkania. Złagodzą jego surową prostotę i ubóstwo . . .

Był podniecony, gdy dzwonił do znanego mieszkania:

— Zastałem panią Merif?

Gospodyni spojrzała na niego jeszcze podejrzliwiej, niż wczoraj:

— Pyta pan o tę panią, która się wyprowadziła właśnie? . . .

— Wyprowadziła? Jakto? Ta mała blondynka? Pani Merif?

— Pan myśli, że łatwo jest spamiętać nazwiska ludzi, którzy jednego dnia się wprowadzają a drugiego wyprowadzają?

— Pani będzie tak dobra wyjaśnić mi . . . Zależy mi na tym, szukam tej pani — wcisnął w rękę kobiety szeleszczący banknot.

— Nie dziwiłabym się, żeby nawet i policja szukała takich panien. Cóż ja o niej mogę powiedzieć? Pan więcej wie, bo siedział u niej przez noc . . .

— Kiedy wynajęła pokój u pani? Jakie podała nazwisko?

— Wprowadziła się wczoraj. Ja mam proszę pana zawsze dużo pokoi do odnajęcia, zawsze wszystkie zajęte, chwalą sobie u mnie sublokatorki. No, ale ten jeden wolny był wczoraj. Przyszła ta pani wieczorem, bez pakunków, powiedziała, że rzeczy ze stacji jutro przywiezie, że nie ma gdzie mieszkać i bardzo jej zależy, żeby u mnie . . . Powiedziała, że formalności wypełni też na drugi dzień, do urzędu poda i wszystko. Zapłaciła z góry za cały miesiąc. U mnie niedrogo. Podobała mi się z początku bardzo. Poleciała potem do miasta. Nakupiła delikatesów, nastawiała flaszek. To już coś podejrzane. Mówię jej, że nie mam pościeli i na czym ona będzie spać? Ona mi na to, żebym pledem łóżko zakryła, bo nie będzie się dziś kładła spać i że się spodziewa wizyty . . . Rozumiałby pan co z tego . . . ?

— No i co? Dalej wiem sam. Przyszedłem

Gęśle i piosnecka

Siedła roz z wiecora
juhasko piosnecka
na gęślak z jawora,
cy tez haw ze smrecka —

i labiedzi glucho
śpiewocka podniebno,
ze . . . jej nik nie slucho,
widno — niepotrzebno!?!...

A gęśle jej na to:
...„Wierzoj memu słowu —
niekno przyjdzie lato,
zakrólujem znowu!

Ciesyć serca bedziem
o wselakiej porze,
bo bez nas obojga
górol zyć nie moze! . . .

E. Kłoniecki

ozmawialiśmy ... A rano ...? Co było rano?

— Rano wstała o piątej. Przynosi mi reszt-i z tych przekąsek i mówi, że się rozmyśliła, e wyprowadza się i, że dobrze się stało, że araz wczoraj nie meldowała urzędowo ... a jej na to, że u mnie czternaście dni na-rzód się wymawia ... A ona się śmieje, mó-vi, że zapłaciła za miesiąc i pieniędzy nie echce z powrotem. Flaszki spakowała, po-rosiła o gorącą herbatę i wyszła ...

— Dawno temu?

— Może kwadrans...

— Jakto? I nie zostawiła adresu? ... Ja-iejś kartki ... Listu może dla mnie? ...

— Nic mi nie zostawiła. Tylko w szufla-dzie stołu zostało kilka kartek papieru razem winiętych ... Tak, są zapisane. Musiała wło-yć tam i zapomnieć wziąć, bo spieszyła się ano i narzekała, że tak długo spała ... Za-az panu przyniosę ...

Podała mu rulon papierów. Z roztargnie-iem włożył w kieszeń marynarki.

— Pan jej to odda?

— Tak ... Będziemy się widzieć, to od-a ... A czy ta pani nie mówiła, dlaczego eniła zamiar ...? Tak po jednym dniu? ...

— Nic nie mówiła. Ja jej się pytam, po co jeden dzień jej było tego pokoju, a ko-wało tak drogo, bo jakby za cały mie-? ... A na to ona się śmieje: „— opła- się ... bardzo się opłaciło ... Interes zro-am na tym wszystkim —" To wszystko ...

Bruno nie rozumiał. Specjalnie dla rato-nia jego i Eweliny odnajmywać pokój ...? yba, że Ewelina sama tak zarządziła, po-żyła się tą małą ... No tak! Musiała jej rze zapłacić ... I jeszcze jego trzy set-... Wcale nie protestowała, gdy na komo-e znalazła więcej, niż jej zapowiedział, że tawi ... I jak skrzętnie banknoty scho-ła! Nawet nie zauważył kiedy i gdzie ... Musiała zarobić sporo, kiedy nawet zwie-ła się z tego gospodyni ... Nowa możli-ść zarobku dla uroczych pań: Wybawiać y kochanków z nastawionej sieci mężow-ej zazdrości ... Dobrze, że zasnęła i nie działa jego wzruszeń i jego ... śmiesznej, teskowej pomyłki! Z jaką dumą i odrazą azałaby mu drzwi! ... Bo on opłacił ecież tylko przywilej siedzenia w fotelu, ej pokoju i patrzenia jak smacznie i spo-nie zasypia jego towarzyszka. Niczego cej nie powinien był się spodziewać ...

... Spekulantka ... najbardziej wyracho-na z wyrachowanych ... Czuł niesmak. Ile aciła jej Ewelina? Jeżeli była tak samo sensownie hojna, jak on, to ta sprytna mała kpić sobie z nich musi ... Jakże drogo okupili swoją czasową niekaralność wobec opinii i moralności!! ...

Przechodząc koło automatu telefonicznego tknęło go coś, by zadzwonić do Eweliny. Niemądre polecenie, by nie komunikować się! Czy właśnie Karol Wichert musi podejść do telefonu? Aparat stoi w pokoju Eweliny a mieszkają przecież oddzielnie ... Czyż musi przez aparat przedstawiać się całym imieniem i nazwiskiem? ... W razie niejasności sytuacji zawsze da się zmienionym głosem wyjaśnić, że pomyłka, że przełączono inny numer ...

Głos Eweliny usłyszał prawie zaraz, choć była godzina siódma rano i dzwonek zbudzić ją musiał ze snu.

— Ewe, tu Brunon. Karol jest? Czy można swobodnie mówić?

— Nie ma Karola. Przecież wiesz, że dziś wróci dopiero w południe. Czemu nie przyszedłeś? Ciebie nie było, natomiast mnie bezbronną napadają we własnym domu jacyś pijacy ...

— Jakto?! Twój mąż jednak wyjechał wczoraj?

— Nie udawaj naiwnego. Przecież wiesz, że inspekcje w Myślenicach ... Bruno, czy ty jesteś może pijany? Nie przychodzisz, choć wyraźnie umawiasz się na 8-mą, dzwonisz o świcie, mówisz od rzeczy ...

— Nie ... nie jestem pijany ... Słyszałem na mieście, że wczoraj miał nie jechać ... zresztą ostrzegałaś, więc nie przyszedłem ... Słuchaj Ewelinko, bo wielu rzeczy nie rozumiem ... powiedz mi, czy nie pisałaś wczoraj do mnie listu i nie poleciłaś podać mi go przez osobę trzecią?

— Listu? Jaki list? Przecież rozmawiałam z tobą telefonicznie o siódmej wieczorem. Wszystko zostało umówione, że przyjdziesz, jak zwykle. Po co miałabym pisać? Co za niejasności, Bruno? ...

— Ewelino ... Tak, niejasności ... Może zresztą jestem pijany. Później ci wyjaśnię — prędko położył słuchawkę, bo nie miał wcale ochoty opowiadać Ewelinie dziejów tej nocy.

... Jeżeli Ewelina nie pisała i nie ostrzegała ...? a przecież jednak zaangażowany przez Wicherta detektyw czekał na schodach ... I skąd pani Iwonka Merif w tej całej historii? ...

Cała jego teza o Iwonce wzięła w łeb. Od razu.

Nie działała z polecenia Wichertowej. Znała jednak doskonale życie i zwyczaje tej pani. Nawet sposób pisania listów do niego ... które zresztą nie trudno było podrobić ...

Kaprys słodkiej Iwonki? Ochota na przeżycia ze sławnym człowiekiem?

Przypomniał sobie dziecinną twarz śpiącej ...

Nie, nie można zrozumieć z tego nic ... Więc nie wyrachowanie ... bo Ewelina nie finansowała nic, a on mógł również nie wyciągać tak zaraz portfelu! ...

Choć z drugiej strony ... cieszyła się zarobkiem przed gospodynią ... i zostawione przez niego pieniądze wzięła chętnie! ...

... I w tym się pomylił: Chcąc zapłacić za rozmowę telefoniczną poszukał drobnych w kieszeni palta. Zaszeleściły jakieś zwinięte papierki. Trzy papierowe stuzłotówki wciśnięte w kieszeń płaszcza ... gdzie nigdy nie wkładał żadnych banknotów ... To wyprowadziło go już ostatecznie z równowagi ... Zagadkowy uśmiech małej Iwonki wydał mu się jeszcze więcej niezrozumiały ...

Oddała całą kwotę sprytnie, ukradkiem do kieszeni jego płaszcza. Wisiał w korytarzu, a ona tam wychodziła ...

A nie oponowała, gdy tak niedelikatnie, po chłopsku otwierał portfel ... Jakże musiała się czuć dotknięta, gdy zauważyła na komodzie potrojoną sumę ... Do licha! Jeżeli zaiste nie była w porozumieniu z Eweliną, to znaczy, że ona sama fundowała mu kolację i trunki w specjalnie na to odnajętym na tę jedną noc mieszkaniu! Na Boga — po co? Żeby mieć satysfakcję zaśnięcia w jego obecności? ... !?

Klął. To była jakaś nienormalna kobieta. A równocześnie przecież pełna czaru i powabu, z myślącymi, pogodnymi oczyma ... Dlaczego nie zostawiła śladu po sobie? Naumyślnie jakby zniknęła z mieszkania, gdzie spodziewał się znaleźć ją jeszcze ... Nie życzy sobie widzieć się z nim więcej. To także leżało widać w programie przez nią inicjowanej awantury. Zatarła ślady ...

Ach! Uderzył się po kieszeni marynarki, gdzie ukrył odebrany z rąk gospodyni rulon papierów Iwonki. Może właśnie tam znajdzie rozwiązanie? Może to list do niego? ...

Nie znosił organicznie kobiet piszących. Uważał, że kobieta i pióro to dwa bieguny które powinno się rozgradzać tak, żeby suma oceanów i lądów je dzielących wynosiła nieskończoność. Zrywał z kobietą stosunki, bez względu na to, jakie były, gdy zauważył na jej palcach ślady atramentu, lub ołówek między innymi przyborami w torebce. To, że z Eweliną musiał czasem porozumiewać się pisemnie, męczyło go i drażniło. Chaos z natury już małologicznych myśli, niepowiązanych w zdania, zupełny brak znaków pisarskich i niekoniecznie prawidłowa ortografia — raziły jego oko literata, estety.

Jeżeli ta jasnowłosa kobieta zasłaniać się chce przed nim pisaną literą, ułożonymi starannie frazesami, jeżeli chce zrobić na nim wrażenie zgrabnie postawionym wielokropkiem, czy wykrzyknikiem — Bruno zrazi się do niej momentalnie.

Żadna kobieta nie napisała nigdy nic mądrego — chyba, że przepisała myśl cudzą i efektownie postawiła pod tym swoje imię ... U kobiety pisanie przechodzi w manię, w psychozę. Nie ma nic wstrętniejszego, jak sprowokować kobietę do bronienia się, czy dokonywania zemsty przez pisanie. Jeżeli nie wierzysz temu, co kobieta mówi — jakże możesz wierzyć temu, co napisze — — — co przemyśli, wymedytuje w ten sposób, żeby wyglądało właśnie tak, tuszowało co innego, a upozorowało, co trzeba, żeby mistrzowsko omamiło, oczarowało, zasugestionowało — — a przede wszystkim, żeby było w miarę niejasne, niedopowiedziane, tajemnicze, żeby było jeszcze jednym dowodem na to, że kobieta jest nieodgadniona, nieprzeciętna, nadzwyczajna ...

... Iwonka zostawiła więc, jak zawsze każda z nich: wspomnienie i „ślad pisany"... Może wzruszający list? Może cały pamiętnik?

Rozwinął papiery. Były to używane w urzędach arkusze przebitkowe. Zapełnione drobnym, maszynowym pismem, z mnóstwem uzupełnień, adnotacyj, i wstawek robionych wyraźnym i przejrzystym pismem kobiecym. Pismo to ciągnęło się przez dalsze stronice, gdy skończył się maszynopis. Ostatnie zdanie było nieskończone, atrament zamazany, jakby w pośpiechu ręka zwinęła papiery nie pozwalając mu obeschnąć.

Spojrzał na tytuł: „Psychika wielkich ludzi" ...

Zaklął. Iwonka (przecież to pismo mogło być tylko Iwonki! ...) nie tylko, że uległa także manii pisania, co jest nie do uniknięcia przy niektórych typach kobiet — ale ponadto — o zgrozo — usiłuje pisać rzeczy naukowe, ba! Psychologiczne!

Ciąg dalszy nastąpi

JEJ OSTATNIE KŁAMSTWO

NAPISAŁA M. SKOTNICOWA

Ona jedna potrafiła przejść przez kolonię suchą nogą, droga i domki tonęły przeważnie zawsze w błocie.

Kolonia huty żelaza znajdowała się w pobliżu fabryki i była oddzielona od huty tylko wielkim wałem szlaki. Szlaka ta, w stanie jeszcze rozżarzonym, często rudo oświetlała wieczorem kolonię. Dosyć wysoki i rozwlekły pagórek oddzielał zabudowania huty od miasteczka. Ponieważ kolonia leżała u stóp tego pagórka po stronie północnej, osiedle to i w dnie słoneczne przedstawiało się ponuro i szaro. Domki wszystkie były jednakowo zbudowane i odróżnić można je było tylko według zagród, tu starannie utrzymanych, tam znów nieuporządkowanych i niechlujnych.

Jak różne były zagrody, tak różni byli i mieszkańcy tego szarego świata i tych napozór jednakowych domków. Byli to ludzie pracy z całym swoim prozaicznym realizmem, który tylko tu i tam kobieca ręka starała się upiększyć.

Alinka była jasnym promykiem szarej kolonii. Mieszkała w małym pokoiku na poddaszu, w jednym z tych małych domków, i jej okienko pełne kwiatów upiększało na zewnątrz ten szary domek. Była krawcową. Znano ją w kolonii i miasteczku jako „pannę Alinkę". Dwudziestodwuletnia szczupła blondyneczka, średniego wzrostu o dużych niebieskich oczach, fruwała po prostu po brudnej kolonii, jak motyl, szukający kwiatu, na którym mógłby spocząć.

Pomimo, że Alinka swoim zewnętrznym wyglądem tak mało nadawała się do tego otoczenia, jednak głęboko zapuściła korzenie w tym gruncie. Matka jej, wdowa po urzędniku technicznym, przeniosła się z małą pensyjką wdowią z domów urzędniczych do kolonii i tam umarła na gruźlicę. Czternastoletnią dziewczynkę przygarnęła litościwie sąsiadka, lecz gdy skończył się okres nauki szkolnej Alinka poszła do krawcowej. Wydoskonaliła się w swoim zawodzie tak dobrze, że i panie inżynierowe były jej klientkami. Nie przeniosła się do miasta, jak jej doradzano, lubiła bowiem tę szarą kolonię, tych ludzi pracy, którzy, pomimo życzliwości, często z niej pokpiwali. Jedni zastanawiali się nad romantycznością biednej krawcowej, drudzy do końca twierdzili, że Alinka jest zapewne dobrą dziewczynką, lecz jej skłonność do kłamstwa nasuwała przypuszczenie, że coś w jej pięknej główce nie jest w porządku.

Kłamstwa panny Alinki były rzeczywiście osobliwego rodzaju. — Raz uszyła Haneczce, córce biednej robotnicy, prześliczną sukienkę do pierwszej Komunii św. Matka nie miała czym zapłacić i Alinka nie nalegała na zapłatę. Kiedy po jakimś czasie robotnica przyniosła jej kilkadziesiąt groszy na poczet zaległości, Alinka oświadczyła jej, że nie trzeba przynosić reszty, bo pani inżynierowa już zapłaciła. Kiedy wdowa poszła podziękować mniemanej dobrodziejce, wtedy zdziwiona pani oświadczyła, że o tym nic nie wie. Oczywiście, że Alinka od nikogo żadnej zapłaty nie otrzymała. Innym razem uszyła małemu bobaskowi biednej posługaczki sukienkę, twierdząc, że zostało jej materiału. Jednak byli ludzie, którzy widzieli, że krawcowa kupowała na targu tę małą resztkę.

Innym dziwactwem nieszkodliwym był u Alinki „głód kwiatów". Co niedzielę po południu znosiła sobie naręcze polnych kwiatów i zdobiła pokój bukietami. Kiedy ludzie śmiali się z niej, twierdziła, że to dzieci znoszą jej te kwiaty.

Pomimo tych dziwactw była jednak ozdobą kolonii i niejeden urzędnik kochał się w niej. Ona nie przejmowała się swoim powodzeniem i unikała adoratorów.

Była wiosna i w olszynach zakwitły fiołki. Poszła więc Alinka w niedzielę po południu zbierać kwiaty i tam spotkała Franka. Był on także sierotą i spełniał funkcje nadzorcy w hucie. Życzliwe sąsiadki tłumaczyły dziewczynie, że może zrobić karierę, o ile będzie mądra. Lecz Alina mądrą nie była. — Była wiosna i kwitły fiołki.

Minęła wiosna, minęło lato, przekwitły kwiaty. Mróz tylko na szybach małego okienka malował dziwaczne drzewa i palmy. Proste robotnice szeptały sobie na ucho, że Alinka wydaje sporo, zarobionych nocą nad szyciem pieniędzy na kwiaty kupowane przez nią w kwieciarni w miasteczku. Stały te kwiaty w różnych flakonikach na stole i komodzie w czystym pokoiku na poddaszu, a sąsiadki przychodziły z ciekawości podziwiać je. Alinka ze szczęśliwym uśmiechem oświadczała, że kwiaty te przynosił jej Franek.

Młody nadzorca ośmieszony został tymi niewinnymi kłamstwami. Kto to widział w kolonii, żeby kawaler przynosił pannie kwiaty! Nosiło się ciastka, likier, ale kwiaty — przecież on nie jest lowelasem, a ona nie aktorką...

Alinka na swe usprawiedliwienie miała tylko te słowa: „Co ci te moje kłamstwa szkodzą? Niech sobie ludzie gadają. To, że sobie sama kupuję kwiaty, jest moją rzeczą, jestem jednak pewna, że przyjdzie czas, kiedy ty sam mi je kupisz i przyniesiesz — to jest takie ładne."

Franek oburzył się tymi słowami i raz oświadczył, że już ma dosyć tego i że on dla jej anielskich oczu nie da się ośmieszać. Począł jej unikać i zaczął ostentacyjnie zalecać się do rudej Zosi.

I znów była wiosna i kwitnęły fiołki. — Pachniały te fiołki i w pokoiku na poddaszu.

Była wiosna i zbliżały się święta wielkanocne. Wszędzie sprzątano, bielono domy, i porządkowano zagrody. Także i młoda krawcowa przewróciła swój zawsze czysty pokój „świąteczną stroną do góry", jak mówią ludzie pracy. Upiekła u sąsiadki bułeczkę i trochę ciastek, pomalowała prześlicznie kilka jajek. W wielką sobotę kupiła w kwieciarni przecudną, różową azalię. Na te wszystkie wspaniałości przychodziły się patrzeć sąsiadki. Alinka spoglądała błyszczącymi oczami na kwiat i głaskała owiniętą bibułką doniczkę. Chwaliła się przed sąsiadkami, że tę azalię kupił jej Franek i że po Zmartwychwstaniu przybędzie do niej.

Ploteczki kursowały więc w kolonii i doszły do słuchu rudej Zosi, która urządziła Frankowi piekło. Po sumie w Niedzielę Wielkanocną wysłała go, by się rozprawił z tą „wariatką".

Kiedy Franek wszedł do pokoju, Alinka stała przy małym stoliku, na którym odgrzewała sobie obiad na spirytusowej maszynce. Franka uderzył czysty wygląd pokoju, piękne makaty na ścianach i kwiaty, jak również wprost anielski urok tej złotowłosej dziewczynki, która patrzyła na niego z radosnym wyrazem niebieskich oczu.

— Jak mogło nam być razem dobrze, żeby nie te jej dziwactwa — pomyślał z żalem i ogarnęła go jakaś dzika złość na widok kwitnącej azalii. Chciał się rzucić na doniczkę z kwiatem, by rozbić ją na drobne kawałki. Alinka odgadła jednak jego myśli i porwała kwiat. Wtedy on, zaślepiony wściekłością, porwał za najbliższy przedmiot — za rączkę od spirytusowej maszynki. Rondelek zesunął się na podłogę, Franek zaś pełną prawie i palącą się maszynkę rzucił w kierunku dziewczyny i wybiegł z pokoju.

Ugaszono ogień na Alince i ułożono nieprzytomną do łóżka. Lekarz oświadczył, że rany od poparzenia są zbyt ciężkie i nie ma ratunku, lecz chora odzyskała jeszcze przytomność przed śmiercią. I kiedy szeroko rozwartymi od boleści, niebieskimi oczami spojrzała na siedzącą obok łóżka kobietę, wtedy ta wybuchnęła płaczem i rozpaczliwie krzyknęła:

— Już tego mordercę Franka aresztowali, nie wypierał się, tylko mówił, że nie pamięta czym na ciebie rzucił, aniołeczku.

— Jezus, Maria! — krzyknęła Alinka i zamyśliła się. Po chwili krzyknęła znów:

— Prędko, droga pani Burkowa, prędko biegnijcie po świadków. Franek nie rzucił we mnie maszynką. Chciał porwać doniczkę, lecz usunęłam ją, więc rzucił rondelkiem, chciałam ten rondelek podnieść i wtedy zaczepiłam rękawem za maszynkę, zrzuciłam ją i oblałam się palącym spirytusem. Prędko, moja droga po świadków i spisać moje zeznania, a potem księdza...

Pogodne Wielkanocne popołudnie chyliło się już ku zachodowi, kiedy sam ks. proboszcz spowiadał Alinkę. Świadkowie pospieszyli do miasta, by uwolnić Franka, reszta mieszkańców kolonii stała w pobliżu domku, lub czekali na korytarzu. Ludzie się rozstępowali. Powolnym zmęczonym krokiem nadchodził Franek. Blady na twarzy i z wielkim bukietem czerwonych goździków w ręce. Kobiety szeptały sobie na ucho:

— Może ona nie kłamała i on jej te kwiaty nosił? — była przecież taką dobrą dziewczynką... — i popłakały się kobieciaki.

W sieni zetknął się Franek z odchodzącym proboszczem. Przeraził się, lecz czcigodny dusz pasterz przystąpił do niego i rzekł:

— Czeka na ciebie — ona ci przebaczyła i przebaczy ci także dobrotliwy Bóg...

— Alinko...

— Franku — ach daj mi te cudne kwiaty — tak, — dziękuję. Widzisz, sam mi je przyniosłeś, jak ci to mówiłam...

— Ach Alinko, za późno cię zrozumiałem.

— Więc zrozumiałeś — moje ostatnie kłamstwo — jak to dobrze. Nie jest za późno Franku, tak jest ładniej. Później umarłabym na gruźlicę. Zrozumiałeś i będziesz znów nosić kwiaty na mogiłę — przyjdzie znów Zmartwychwstanie i będzie tak wzniośle, tak pięknie...

Jej ręka zlodowaciała w ciepłej dłoni Franka i opadła ta druga, co tuliła delikatnie kwiaty do siebie. Kwiaty rozsypały się po kołdrze.

OT TAKA MAŁA SIELANKA

NAPISAŁ BROTYCZ

Codziennie spotykali się na jednym miejscu. Ona, choć już liczyła osiemnaście wiosen, pasała gęsi, a on, karczował zrąb leśny opodal.

Co dnia wsłuchiwał się w jej głos srebrzysty co szedł pieśnią po rosie i ginął echem w ścianach pobliskiego boru. Choć ciągle byli razem, nigdy nie spojrzał wprost na nią. Nie patrzył, chociaż ją nosił w myślach i sercu, wyrzeźbioną na kształt świętej z ołtarzyka. Ukradkiem tylko, gdy stadko swoje zganiała admirował jej złote sploty, którymi, gdy biegła przez łąkę, wiatr igrał swawolnie. Zajęty znojną swą pracą, rad był bardzo, że jest przy nim, że mu śpiewała, aż głos rozlegał się po polu. A gdy oddaliła się bodaj na chwilę od jego miejsca karczunku, choć nie rzekł ni słowa, był markotny i zły. Mścił się wtedy na opornych pniakach, wymierzając straszliwe ciosy siekierą, a oczami szukał Jagny czy nie wraca.

A gdy już szła ku niemu, udawał, że jej nie widzi, choć serce chciało wyskoczyć z radości.

Dziwnym człowiekiem był ten zeznojony chłop, co mu ból życia i zawody bruzdami poznaczyły czoło, a wichry halne osmoliły lica. A że był czarny i stale chmurny zwano go we wsi „cyganem". Kochał on Jagnę skrycie, nigdy jej o tym ni słówkiem nie mówiąc. Bo i po co? . . . Wyśmieje, wydrwi go, a nic tak bardzo nie boli jak bezlitosny, drwiący śmiech.

Więc dalej karczował, a świadomość, że Jagna nadejdzie, że znów ją ujrzy przy sobie, że z nią pogwarzy, zadawalała go i to mu wystarczyło . . . musiało wystarczyć. Nią tylko żył.

Gdy szła ku niemu roześmiana, ta jego wiosna co dnia poranku i zagadnęła go wesoło, było mu tak miodnie na duszy, że wstrzymać nie miał siły, by na nią nie spojrzeć choć przez sekund kilka. A gdy niespodzianie oczy ich czasem spotkały się ze sobą, chociaż w książkach czytać nie uczony, serce go czytać uczyło w jej oczach. Dobrze im było tak razem. Jagna lubiła cygana, bo jej nijakiej nie czynił krzywdy, ni o miłościach głupich gadał. Bywało, gdy nadeszło południe, zeznojony odrzucił siekierę precz od siebie, usiadł przy dziewczynie, dzielił się z nią chlebem, i skibkę sera dorzucił. Zerkał wtedy na nią ukradkiem, nic nie mówiący, jak urzeczony. I tylko w myślach prawił jej:

— Takaś ty moja! takaś milusienka, gołąbko przejasna!

Tak jakoś biegły im te słoneczne dnie przez życie. Cygan słówkiem nie wspomniał, że Jagnę ukochał, że mu się okrutnie podoba, a Jagna? . . . też o tym nie wiedziała, bo i skądże? . . . Kiedy on zawsze patrzył spode łba, jak bryś, nieprzymierzając.

Sobota. Słońce kładło się złocistymi snopy na zielonej murawie i zeszło na głowę dziewczyny jasną aureolą. Cygan oparty na stylisku siekiery chciał coś przemówić, ale gdy ujrzał Jagnę oświetloną słonkiem, zaczęty rozhowor zastygł mu na ustach, bo mu się zdało, że to nie ona, ale święta jakaś siedzi. Zapadła cisza taka, że zda się słychać było szmer przędzy Matki Bożej, co od boru leciała pasmem srebrnym. Jagna wiła sobie z kwiecia leśnego wianeczki, nic nie wiedząca, że w tym słonku spławiona taka cudna była.

— Haj! . . . cóżeście tak naraz oniemieli? — spytała, podnosząc zdziwione oczęta na cygana. — Czy wam mowę odebrało? Tak dziwnie patrzycie, że choć nie boję się was, to mi tak jakoś . . .

— Eh! głupia! nie na ciebie, ale na słońce patrzyłem, że się tak czerwono skryło za las — odburknął zły, że go Jagna przyłapała; i jął się dalej karczunku, odwróciwszy się do Jagny plecami. Cygan niecierpiał soboty, bo w ten dzień wracała Jagna już przed wieczorem do domu, więc mu się ćmiło bez niej, i robota szła ospale.

Więc przemówił: — Hej, niedługo już odlecisz stąd jak ptaszyna do swojego gniazda, a mnie jeszcze z godzinę przebyć tu trzeba — a w duszy dodał: bez ciebie, kochanie!

Żal się jej jakoś zrobiło na sercu, że go zostawi samego na zrębie więc rzekła:

— Gdybym udoliła, to bym wam pomogła, i prała toporem korzenie, ale cóż, nie mam takiej mocy jak wy, a i matuś mnie czeka w chacie.

A jemu na te słowa, jakby słońce zajaśniało w duszy i choć nie umiał się tak wypowiedzieć jakby serce chciało, więc tylko oczami miłośnie dziękował za jej dobre chęci. Uśmiechnięty, co mu się rzadko trafiało, machnął ręką tylko i wyszeptał:

— Nie warto! nie warto dla mnie zostawać, szkoda ci czasu maleńka! . . . idź do dom.

Wstała Jagna, wianuszkiem przystroiła główkę, spędziła rozbiegane gęsi, a kiwnąwszy głową, rzuciła mu „dobranoc" na odchodnym.

Zapadła cisza, przerywana tylko szumem pobliskiego boru i śpiewem Jagny echem ginącym w oddali. Osamotniony cygan usiadł na pniu i patrzył długo w jasną sylwetę dziewczyny, aż mu przepadła na zakręcie drogi. Cisza, tylko od wioski szedł po wieczornej rosie dźwięk dzwonu na „Anioł Pański".

Cygan westchnął, plunął w garść i jął się ciężkiej pracy karczunku, ciesząc się nadzieją, że w poniedziałek znów zobaczy dziewczynę i będą razem.

Tak biegły dnie i tygodnie. Karczunek kończył się już na tej polaci zrębu, więc się troskał Cygan, że następny teren pracy znajdujący się po drugiej stronie lasu, uniemożliwi mu widywanie się z Jagną.

Karczunku nie mógł porzucić, bo jeść trzeba przecież, a dobrze była płatna ta praca. Medytował więc, jakby to zrobić, jak wymędrkować, ażeby znowu byli razem. Toteż przez kilka dni nie wiele nawet odzywał się do Jagny, a tylko zerkał na nią ukradkiem i przemyśliwał. Dziewczyna, że nic nie gadał, nie wiele teraz troszczyła się o to, a wziąwszy książeczkę z krasnymi obrazkami, usiadła pod krzakiem tarniny i czytała.

Markotny był cygan na owo czytanie ciągłe. Już chciał podejść, coś rzec, ale nie wiedział jak zacząć to, co sobie wykalkulował w myślach.

Aż go wreszcie jakaś moc poderwała. Więc cisnął siekierę i wolnym, niepewnym krokiem przystąpiwszy do zaczytanej, pokornie przemawiać począł:

— Słyszysz ty, Jagna! cóż będzie z nami?

— A cóż niby ma być? — spytała nie odwracając ócz od czytanki.

— Widzisz . . . karczunek w sobotę na tej części już kończę.

— Hano, wiem, pójdziecie potem na drugi zrąb za las.

— Tak . . . właśnie . . . no . . . no to i razem już chyba nie będziemy, jak tutaj — wyrzekł nieśmiało.

— O, wielkie nieszczęście! cóż to, musimy to być zawsze razem na jednym placu?

— Prawda . . . ale . . . słuchaj, Jaguś, nie będzie ci markotno za mną? co? — spytał błądząc oczami po ziemi.

— Markotno? — zdziwiona spojrzała na niego.

— No nie . . . myślałem tak, że . . . — tu westchnął cygan przestępując z nogi na nogę — że gdybyś tak chciała, to bylibyśmy zawsze ze sobą przez dzień długi i nockę całą.

— Jakże to myślicie? . . . „zawsze ze sobą".

— Żebyśmy . . . no . . . żebyśmy . . . — tu głos zamarł mu w gardle, zaniemówił na chwilę.

— Nuże! wystękajcież raz! o co wam chodzi?

Cygan na to wezwanie, drgnął cały w sobie i zdecydowanym już głosem przemówił: — No, żebyśmy pobrali się Jaguś! — Jednym tchem wypowiedział to, co mu od tygodnia ciężyło na duszy ołowiem.

— Co takiego? — aż się zerwała dziewczyna. I ująwszy się pod boki zakrzykła:

— Pobrali? . . . my?! Ha, ha, ha, — wybuchła śmiechem głośnym, aż go las dwukrotnym echem powtórzył bezlitośnie. — O toście coś mądrego wymyślili! ha, ha, ha, ciego! jaki dowcipny! Szkoda was dla mnie Cyganie! Nie dla psa kiełbasa! bywajcie zdrowi!

To rzekłszy odwróciła się od biedaka na pięcie, i pobiegła za swoim stadkiem, co się rozbiegło białą plamą po trawie.

Choć jeszcze było słonko daleko do zachodu, spędziła szybko gęsi z pastwiska i nie spojrzawszy nawet na Cygana śpiesznie ruszyła do domu.

Opuszczony, wyśmiany nieszczęśnik, stał długo jak przykuty, wodząc mętnym wzrokiem po wywróconych korzeniach jakby szukał tam wyjaśnienia, czy pomocy. Nie miał mocy ruszyć się z miejsca, ni siły, by pogonić za dziewczyną i bodaj przemocą zatrzymać ją przy sobie. Odeszła . . . został sam. Zdało mu się, że wiatrem kołysane świerki, szumią smutno nad jego dolą. Że słonko z żalu nad nim skryło się za chmury, i ptactwo przycichło w krzewach.

Bezradny usiadł na pniaku, skrył głowę w dłonie, i zagłębiony w swym nieutulonym frasunku, żalił się w swej duszy, że już nigdy więcej nie będzie miał Jagny przy pracy, że nie zobaczy słoneczka swojego, co go witało co dnia poranku.

Sam zostanie na świecie. Zapomniany, opuszczony, taki... niczyj.

Zmierzch brał zwolna ziemię w swe posiadanie, gdy ociężałym ruchem podniósł się z siedzenia. Spojrzał raz jeszcze na ścieżynę, którą odeszła Jagna, pożegnał łączkę gdzie gęsi pasała. Serdeczny żal chwycił go za grdykę kleszczami. Machnął ręką i strapiony opuścił miejsce, gdzie mu tak dobrze było.

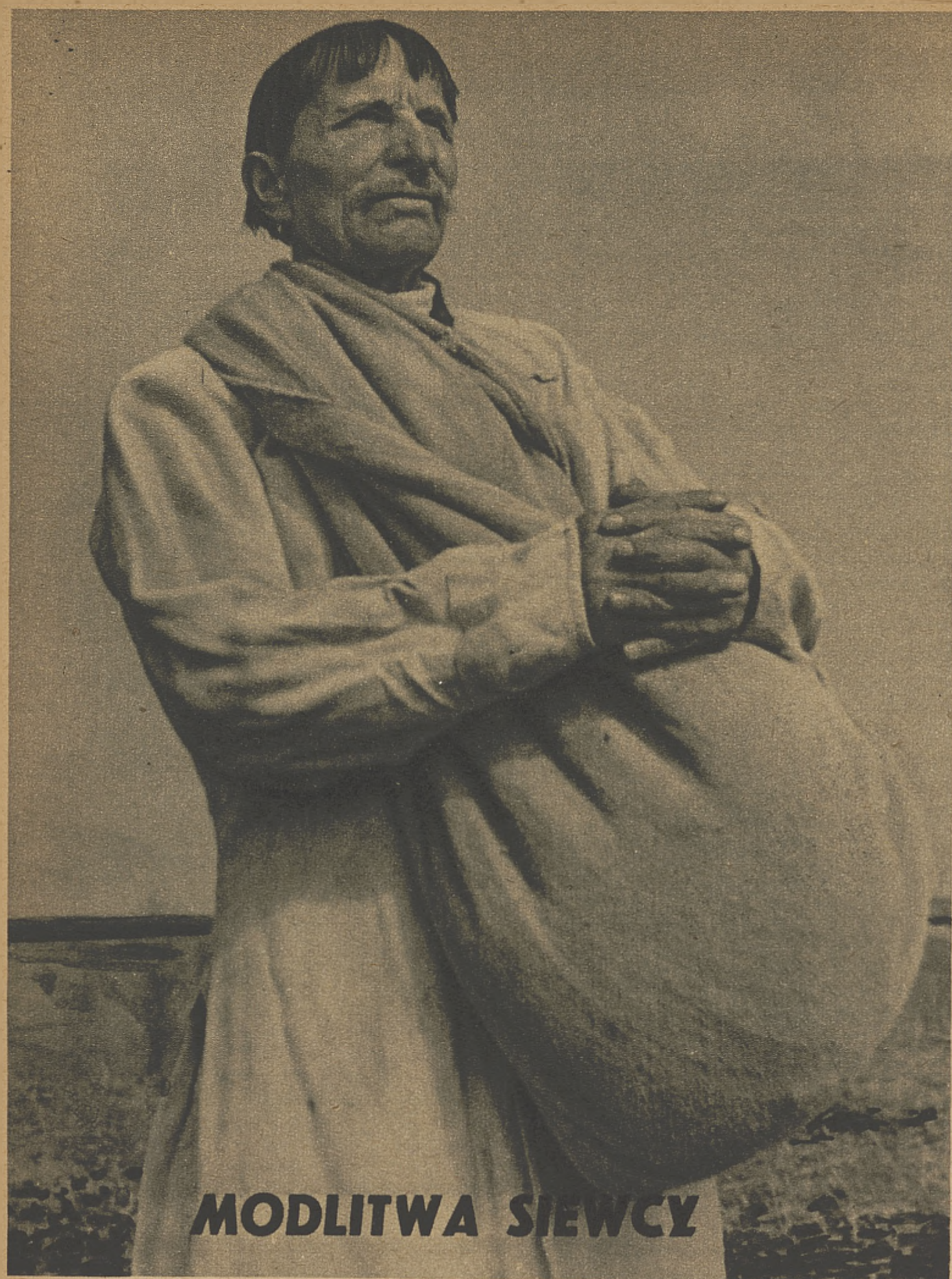
Jakoś w trzy niedziele potem, obchodziła Jagna swoje zrękowiny z urodziwym, i bogatym, Stachem Gwizdakiem. Tańczyła w karczmie jak oszalała, przechodząc z rąk do rąk śmiałych parobczaków.

A w poniedziałek o świcie, gdy mgły poranne opadły na wody, wyłowili rybacy zwłoki nieszczęsnego Cygana.

Ot, taka mała sielanka.

„BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI"
(K. Hamsuna)

Przyjść w dziką, skalną pustkę
jąć się rączej pracy — i budować, karczować, orać,
siać i młócić —
nad fiordami wywiesić w wichrach białą chustkę,
czekać żony nieznanej, w bólu się nie smucić...
— A potem — stać się głazem, stać się ziemi bryłą
być — jak drzewo, jak skiba, jak mądrość przyrody!
I żyć długo, żyć chlebnie swoją żytnią siłą —
i co rok się odradzać, jak wiosenne wody...



O Stworzycielu, utajon w błękicie!
dziś mnie dopuszczasz do spójni najświętszej:
każesz mym rękom rzucić nowe życie
w ziemię mych ojców — oto pustą jeszcze . . .

Więc najpokorniej biorę wolę Twoją!
(pod ziarn uciskiem serce wali dzwonem . . .)
w Twe Imię zacznę pracę moją znojną!
Daj święty rozmach mym posłusznym dłoniom!

Przede mną pola bezkresne dla oczu:
cisza — pod którą szumi Twoja wielkość!
w tej szarej ziemi jasne ziarna spoczną
by wrócić w słońce jako chlebne źdźbełko . . .

— — a moje ręce Twój cud będą głosić!
a moje serce odczuje go pierwsze! — —
zatem, nasz Ojcze w niebie!, śmiem Cię prosić:
— ja sieję ziarnem, a Ty posiej szczęściem!!

i gdy rozrzucę ramiona (siejące . . .)
— jakbyś mnie rozpiął na krzyżu zbawienia —
niech spłynie łaska Twa deszczem i słońcem!!
Ojcze! tak wielu . . . wielu . . . — chleba nie ma!

M. A. Hessel

SPADKOBIERCY

NAPISAŁ: HAZET

Du, du, du — du, du, du — dudniła ziemia sypana łopatą przez grabarza. Zamarznięte na kamień grudy odbijały się z hałasem od wieka trumny. Odskakiwały i staczały się niżej i niżej do grobu.

A w trumnie legły na wieki wieków umęczone chorobą zwłoki bednarza Walentego Kruka.

Już to nacierpiał się on, nacierpiał zanim ducha wyzionął. Wrzody go toczyły. Ropiące obrzydliwe rany otwierały mu się po całym ciele, więc bandażował je jako tako brudnymi szmatami. Chorował, chorował, aż w końcu ulitował się pan Bóg nad mizerakiem i powołał go do swej chwały.

Trudno. Wcześniej czy później, a każdemu tak jest pisane.

Ludzie stłoczeni „na gapia" przy grobie — gdyż mało kto dbał o nieboszczyka — zaczęli się zwolna rozchodzić. Słychać było szurania nogami. Chrząkania. Pokasływania. Przytupywania, gdyż mróz był siarczysty.

Mężczyźni śpiesznie nakładali czapki i nasuwali je głęboko na zmarznięte uszy. A kobiety otulały się szczelniej w wełniane chusty i ciężko wzdychały.

Wzdychały — ot tak sobie — nie z żałości po zmarłym, jeno z przyzwyczajenia, z potrzeby zamarkowania w ten sposób swego udziału w nieszczęściu.

Albo ma się litosierne serce, albo się nie ma.

Za furtą cmentarną języki poszły w ruch.

— Gruby grosz musiał on chyba ostawić — mówiono. — Krewniaki jego dobrze się po nim obłowią. Chłopisko harował bez całe życia jak ten wół, a nikt nigdy go w karczmie nie widział. Skąpy był też nad podziw. Na buty sobie żałował. W słomianych łapciach chadzał. Nawet się nie ożenił z obawy wydatków. Kutwa i juści . . .

I cichutko, cichutko szeptano sobie na ucho:

— Ponoć ostatnimi czasy wdawał się z takimi . . .

I nie kończono zdania.

No, nie wiadomo jak tam było. Łacno posądzić uczciwego człowieka. Może się wdawał, a może nie wdawał. Sekretnik był z niego nie byle jaki. W każdym bądź razie krewniacy jego spodziewali się po nim dużych pieniędzy.

Oczów jeszcze nie zamknął, gdy jego cioteczny brat, Stanisław, wodził niecierpliwie wzrokiem po kątach izby. Wypatrywał schowanka. Świdrował ślepiami na prawo, na lewo, przed siebie, za siebie, ale nie śmiał szukać. Tchórz. Bał się braci, żeby go nie pobili, a dobrze miarkował, że dwie jego bratowe nie spuszczają go z oka.

— Un je najchytrzejszy — szeptały, trącając się łokciami — to jeszcze gotów znaleźć i łapę na wszyćkim położyć. Razem należy szukać, żeby nikt tutaj krzywdy nie miał.

Razem to razem. Trudno. Stanisław musiał się zgodzić, więc jak tylko Walenty zamknął oczy na wieki, zabrano się do szukania.

Przetrząchnięto calutką izbę. Obmacywano łachy. Przesuwano sprzęty. Odstawiano szafliki i garnki. Zaglądano do chlebowego pieca. Wyłażono na górkę . . . W końcu wywleczono siennik spod nieboszczyka i wszyscy po kolei łapy do środka wsadzali i długo w słomie grzebali.

Ani, ani. Rozstąp się ziemio. Pieniędzy nigdzie nie było.

— To niemożliwe! — wściekali się zawiedzeni spadkobiercy. — Pieniądze muszą się znaleźć . . .

Nikt się nie polenił. Zaczęli znowu szukać i nie dawali za wygrane.

Po powrocie z pogrzebu, z nową energią, zaczęto szperać wszędy. Schodzono do kartoflanego dołu. Opukiwano ściany chałupy, gdy oto nagle jedna z kobiet złapała się za głowę i wykrzyknęła:

— O reta! Ależ głupi z nas ludzie. Już wiem gdzie są pieniądze. Stary sknera zabrał je ze sobą do grobu. Już wiem, że są u niego na nodze. Są pod bandażem, cośmy pozostawiły nietkniętym przy ubieraniu ciała . . .

— Rzeczywiście — potwierdziła natychmiast druga kobieta. — Gdzie miałyśmy głowę? Nawet dobrze pamiętam, że cosić mi pod palicami szeleściło . . .

— A żeby was jasne pierony — zaklęli mężczyźni.

No i przestano szukać. Nikt już nie wątpił, że pieniądze są pod bandażem i leżą sobie najspokojniej w trumnie na nodze zmarłego.

Okropność.

Radzono i radzono. Gęby się nie zamykały aż do późnego wieczoru, a najwięcej lamentowały niewiasty, że to czuły się winne.

Wreszcie zabrał głos najstarszy z braci, Michał.

— Nic innego nam nie pozostaje — mówił — jak napisać podanie do władzy. Wyłuszczyć co, jak, a uzyska się pozwolenie na rozkopanie grobu.

Ale drugi brat zaoponował, wzruszając pogardliwie ramionami.

— Ot, głupie gadanie — mruknął pod nosem. — Stare chłopisko, a ruszył dowcipem, jak cielę ogonem. Przecież wiadomo, że taka prośba to nieraz całymi miesiącami wala się po biurkach urzędów i najczęściej przepada. A nie przepadnie i doczekasz się w końcu żądanego pozwolenia, to też ładnie będziesz wyglądał. Rozkopiesz grób — jak ten dureń — otworzysz trumnę, a tu zgnilizna i robactwo swoje zrobiły i stoczyły pieniądze na proch . . .

Co robić?

Wprawdzie wszyscy, ile ich było, już dobrze wiedzieli co należałoby zrobić, ale nikt nie śmiał brać na siebie odpowiedzialności i wyrywać się z niedozwoloną propozycją.

W końcu ten tchórz Stanisław wziął na odwagę i tak powiada.

— Dobrze miarkuję co macie na myśli. Otóż powiem wam bracia, róbcie sobie jak sami chcecie, ale ja ręce od wszyćkiego umywam i brał na siebie nie będę takiej odpowiedzialności. Wiadomo. Który z was pragnie zgnić w kryminale, to mu nie bronię. Niechaj bierze łopatę i idzie tam gdzie nietrza. Ale ostrzegam, że za samowolne naruszenie grobu zbyt duża jest kara.

— Ot i już stchórzył — odezwała się pogardliwie jedna z bratowych.

— Co nie miałem — przyznawał się cynicznie Stanisław i braciom doradzał żeby i oni stchórzyli. — Lepiej pożegnać się na zawsze z pieniądzmi, niż porywać się na to czego nie wolno.

Wkrótce potem wszyscy pokładli się spać.

Około drugiej w nocy Stanisław powstał cichutko ze swego barłogu, naciągnął buty, sukmanę, wyszukał łopatę w sionkach i ruszył w stronę cmentarza.

— Nie głupim dzielić się z braćmi — rozmyślał po drodze.

Księżyc wzeszedł. Ostatnia kwadra. Nikły sierp wypłynął na niebo i oświecał swym zielonkawym blaskiem majaczące w oddali drzewa i krzyże cmentarne.

Brrr. Nieprzyjemnie. Dreszcze chodziły tchórzowi po plecach. Miał ochotę nawrócić, ale łapczywość wzięła górę nad strachem.

Pchnął furtę cmentarną, odszukał świeżo usypaną mogiłę i zabrał się do roboty.

A ciężka to była praca. Mróz ścisnął ziemię na granit, na bryłę lodu.

Kopał i kopał. Kopał i kopał. Pot ciurkiem z niego leciał, ale na nic nie zważał jeno kopał dalej. W końcu ukazała się trumna, więc dobył resztek sił, odkopał, podważył wieko łopatą i zabrał się do bandażu.

Daremny trud. W bandażu pieniędzy nie było.

— A żebyś z piekła nie wyjrzał — zaklął siarczyście Stanisław, zatrzasnął z furią wieko trumny i chciał z grobu wyskoczyć.

Ale, w tej samej chwili, nieboszczyk Walenty przytrzymał go za sukmanę.

Z przerażenia tchórz stracił przytomność.

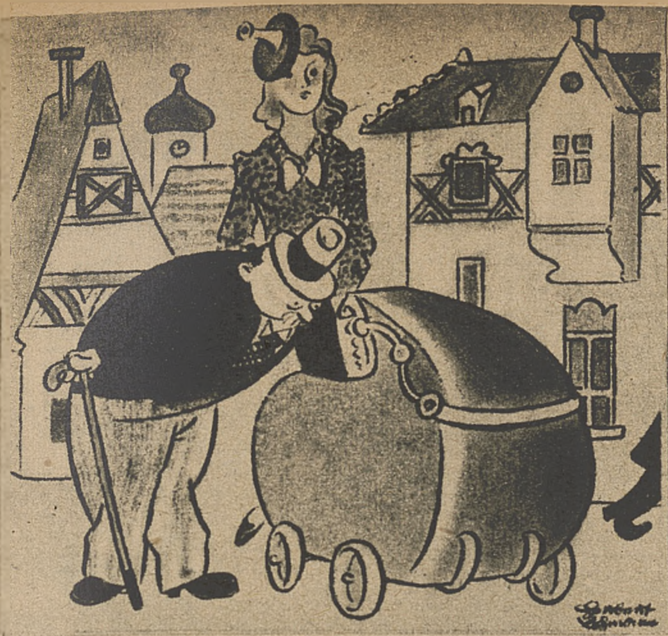
— — — — — — — — — — — —

Nazajutrz około południa grabarz znalazł go martwym w rozkopanym grobie.

Zamarzł na śmierć.

A połę sukmany miał przyszczypaną wiekiem trumny.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



— Jest mi naprawdę przykro, panie Jacykowski, że wcześniej nam nie przyszło na myśl pana zaprosić na ojca chrzestnego dla naszego Józia. Ale może w przyszłości pan nam tego zaszczytu nie odmówi?

— O, łaskawa pani, dla mojej przyjemności, niech pani sobie wcale nie zadaje tego trudu!

Das Illustrierte Blatt

KĄCIK SZACHOWY NR 9

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

PRAWIDŁA GRY

§ 4) O wykonywaniu posunięć

Posunięcia uważa się za wykonane:

I. przy posunięciu bierki z jednego pola na drugie — gdy ręka gracza puściła bierkę,

II. przy biciu — gdy bierka, która ma być zabitą, została zdjętą z szachownicy i gdy ręka grającego puściła własną bierkę,

III. przy roszadzie — gdy ręka grającego puściła wieżę,

IV. przy dorabianiu figury — gdy grający postawił na danym polu wybraną przez siebie figurę.

§ 5) O poprawianiu bierek na polach

I. Grający może poprawić jedną lub kilka własnych bierek na ich polach pod warunkiem, że uprzedzi o tym swego partnera. Zazwyczaj używa się wówczas wyrażenia: poprawiam (J'adoube).

II. Nie wolno poprawiać bierek partnera, który jednak jest obowiązany do poprawienia na żądanie grającego swych bierek na szachownicy.

III. Jeżeli bierki zostały przypadkowo rozrzucone, należy niezwłocznie zatrzymać zegary (o ile partia była graną z zegarem szachowym) i ustawić bierki we właściwej pozycji pod nadzorem kierownika turnieju. Jeśliby podczas dalszej gry lub po ukończeniu partii okazało się, że pozycja została odtworzona mylnie, należy wznowić grę, rozpoczynając od pozycji właściwej.

§ 6) O bierce dotkniętej

Jeśli grający dotknie:

I. jednej ze swoich bierek — winien zrobić nią posunięcie,

II. bierki przeciwnika — winien ją zabić,

III. bierki własnej i bierki przeciwnika — winien dotkniętą bierką własną zabić bierkę przeciwnika.

W razie, gdy bicie jest niemożliwe, przeciwnik może żądać, aby partner zrobił posunięcie dotkniętą bierką, bądź też aby zabił przepisowo jedną z własnych bierek dotkniętą bierkę strony przeciwnej. Grającemu, który się omylił, przysługuje prawo wyboru bierki, która ma dokonać bicia.

Gdy żadne z posunięć, wymienionych pod I., II. i III. nie może być wykonane zgodnie z przepisami, omyłka nie pociąga za sobą kary.

IV. Kilka własnych bierek — przeciwnik ma prawo oznaczyć bierkę, którą trzeba zrobić posunięcie.

Jeśli przepisy gry nie pozwalają na zrobienie posunięcia żadną z dotkniętych bierek, dotknięcie pozostaje bez następstw;

V. kilka bierek przeciwnika — musi zabić bierkę, którą mu przeciwnik wskaże.

Jeśli przepisy nie pozwalają na zabicie żadnej z tych bierek, dotknięcie pozostaje bez następstw.

§ 7) O nieprawidłowych posunięciach

Jeżeli jeden z partnerów zrobi nieprawidłowe posunięcie i jeżeli przeciwnik zauważy to przed dotknięciem swojej bierki dla odpowiedzi, posunięcie nieprawidłowe powinno być cofnięte, po czym należy postąpić w następujący sosób:

I. w wypadku, gdy nie chodzi o bicie bierki, grający, który popełnił błąd, winien zagrać w sposób prawidłowy tą samą bierką. Jeżeli bierka ta nie może zrobić przepisowego ruchu, błąd pozostaje bez następstw;

II. w wypadku bicia bierki grający winien według uznania przeciwnika albo zabić jego bierkę w sposób przepisowy, albo też zrobić inne prawidłowe posunięcie dotkniętą bierką własną. Jeżeli ani jedno, ani drugie nie jest możliwe, błąd pozostaje bez następstw,

III. jeżeli nieprawidłowe posunięcie zostało umieszczone w kopercie i błąd nie może być sprostowany z zupełną pewnością przez kierownika zawodów, partię należy uznać za przegraną dla sprawcy błędu;

IV. jeżeli w ciągu partii zostało ustalone, że zrobiono nieprawidłowe posunięcie i błędu nie poprawiono, należy przywrócić pozycję, która się wytworzyła bezpośrednio przed popełnieniem błędu i wznowić grę od tej pozycji. Jeżeli pozycja ta nie może być odtworzona, partie unieważnia się.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium Nr. 4.

A. O. Herbstmann (1936).

Czarne: Kd6, Wd4, Sg4, piony: a5, f6, h4 (6).

Białe: Kf1, piony: f2, h6 (3).

Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie problemu Nr. 3 (Hillbricht): 1. H—b6 (grozi G—f5) S—f6 2. G—a2! i 3×.

Partia Nr. 7

Białe: N. N. — Czarne: G. Torre

grana w Meksyku w r. 1929.

Obrona Caro-Kann.

1. e2—e4 c7—c6	7. Gg5×f6 h4×g3!
2. d2—d4 d7—d5	8. Gf6—e5 Wh8×h2!
3. Sb1—c3 d5×e4	9. Wh1×h2 Hd8—a5+
4. Sc3×e4 Sg8—f6	10. c2—c3 Ha5×e5+!
5. Se4—g3 h7—h5	11. d4×e5 g3×h2!
6. Gc1—g5? [1]) h5—h4	Białe poddały się.
	[1]) 6. h4!

Partia Nr. 8

Białe: Z. Weiß — Czarne: Kupak

grana w turn. w Jugosławii w r. 1928.

Hiszpańska.

1. e2—e4 e7—e5	10. e4—e5 d6×e5
2. Sg1—f3 Sb8—c6	11. Hd4×e5 0—0?
3. Gf1—b5 d7—d6	12. He5×e7 Wa8—e8
4. d2—d4 Gc8—d7	13. He7—b4 Sf6—g4
5. 0—0 e5×d4? [1])	14. h2—h3? [2]) Hd7—d6!
6. Sf3×d4 Sc6×d4	15. We1×e8 Wf8×e8
7. Gb5×d7+ Hd8×d7	Białe poddały się.
8. Hd1×d4 Sg8—f6	[1]) 5 . . . G—e7!
9. Wf1—e1 Gf8—e7	[2]) 14. g3!

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Sekretarka do szefa:

— Zatelefonowałam już do pańskiej żony, że ma pan dziś dużo zajęcia i dopiero późnym wieczorem będzie mógł do domu powrócić.

Szef: — I co ona na to?

Sekretarka: — Upewniła się tylko, czy może na tym zupełnie polegać, co jej powiedziałam?

*

— Ach kiedyż nareszcie kupisz mi nowy kapelusz?

— W przyszłym tygodniu, duszko, w przyszłym tygodniu.

— Ależ w ubiegłym tygodniu mówiłeś to samo.

— A widzisz, że ja mego zdania nigdy nie zmieniam.

*

Małżeństwo jest podobne do oblężonej fortecy: oblęgający pragną wejść do niej, oblężeni uciekać.

*

Bogaty finansista:

— Patrz pan ta zbroja, to pozostałość po moim pradziadku.

Gość: — Nie wiedziałem, że pański pradziadek handlował starym żelazem.

*

Zapalony sportowiec jest ciężko chory.

— Siostro, jaką jest dzisiaj moja temperatura? — zapytuje pielęgniarkę.

— 40,8 — panie Julianie.

— Faktycznie? A ile wynosi rekord światowy?

*

— Co ja słyszę, pan sobie buduje nowy dom!

— A czy pan kiedy słyszał, żeby kto sobie stary dom budował?

*

— Przyznaj się Stasiu, czy ty nie podglądasz przypadkiem przez dziurkę od klucza, gdy ja i twoja siostra siedzimy sami w pokoju?

— Bardzo rzadko, proszę pana, tylko wtedy kiedy mama nie patrzy.

*

Gospodyni: — Czemu postawił pan herbatę na krześle?

Gość: — Jest taka słaba, iż czułem, że należy jej zaofiarować krzesło.

*

— Kelner, niech pan zabierze ten befsztyk i dobrze go jeszcze przypiecze.

— Pan dobrodziej go przecież zamówił na pół surowo.

— Tak, ale on jest tak surowy, że słychać jak rży.

*

Janek i Zosia szli jesienią przez park. Zosia czekała z utęsknieniem na czułe słowa swego towarzysza, ale Janek tylko się krzywił od czasu do czasu. Wreszcie przemówił:

— Panno Zosiu, chciałbym panią o coś zapytać szczerze.

Zosia cała zamieniła się w słuch: — Ze mną może pan mówić całkiem szczerze o wszystkim — odrzekła. Janek westchnął i zapytał:

— Czy nie zna pani jakiego środka na nagniotki?

*

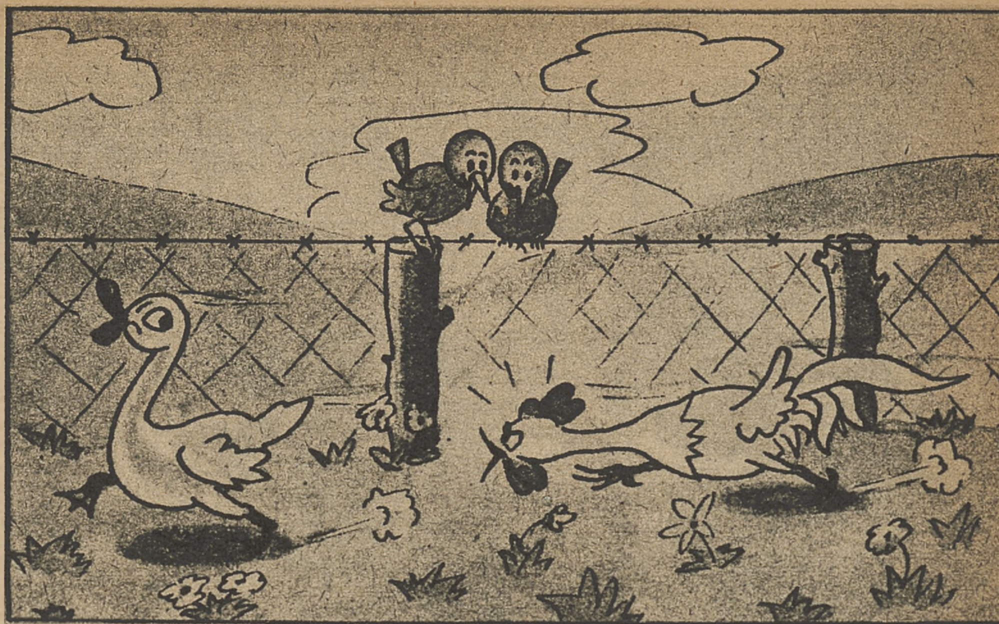
— Czy uważa mnie pani za pijaka?

— Nic podobnego, ale gdybym była butelką wódki, to bym nie chciała zostać z panem sam na sam w pokoju.

*

— Nie rozumiem pana wcale, wciąż mi opowiadasz o swojej wielkiej dla mnie miłości a jak słyszę żenisz się ze swą kochanką.

— To tylko dlatego, by z nią nareszcie raz zerwać i to przy pomocy rozwodu.



Wróble między sobą:

— Czy sądzisz, że ten kogut naprawdę ma taki krótki wzrok?

— Nie, raczej przypuszczam, że to wiosenne powietrze tak bardzo mu uderzyło do głowy.

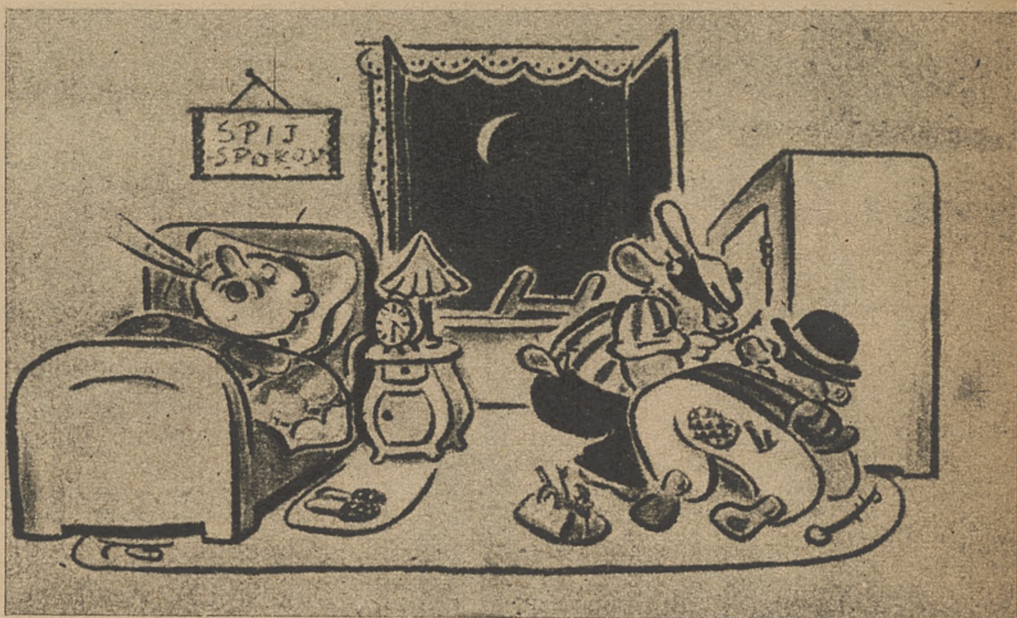
Wiener Illustrierte

Tadeusz podziwia bardzo pierścień, któr nosi na palcu znajomy lekarz.

— Przepiękny jest ten pana pierścień z bry lantem — zwraca się wreszcie do lekarza — czy to pamiątka rodzinna?

— Nie, to prezent jednej z moich pacjente — mówi z dumą młody lekarz.

— Acha, więc pewnie otrzymał pan t w spadku — stwierdza złośliwie Tadeusz.



WŚRÓD BANDYTÓW

— Psiakrew! Przez głośne chrapanie tego jegomościa staję się nerwowym i nie mogę spokojnie wykonywać moich czynności...

Rys. Gebürsch

Wojciech zbiera grzyby w lesie.

— Czy potraficie odróżnić trujące grzyb od jadalnych — zapytuje go jeden z drwal pracujących w lesie.

— Nie, ale ja nie zbieram ich dla siebie d jedzenia, tylko na sprzedaż.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



Zaradny rozbitek morski zalecając się do piątej z kolei syreny — powiedział: — Ty jesteś najpięk niejszą na całym archipelagu!...

Rys. J. Paluch — Krakó

Z pączka do kwiatu

Powolutenku, niedostrzegalnie zupełnie, rósł sobie kaktusek peruwiański zwany „maczugą“ od kształtu właśnie maczugę przypominającego, aż nareszcie w dziesiątym roku swego życia „spoważniał“, to znaczy nabrał cech statecznej dojrzałości, osiągnął „wzrost“ około 150 cm i . . . zaczął szczególnie interesować swego właściciela. Bo oto któregoś dnia letniego powstawać zaczęła mała nabrzmiałość opodal grupki kolców na maczudze, zaokrągliła się niebawem, a doświadczony hodowca „wyczuł przez skórę“, że tyloletnie jego zabiegi pielęgnacyjne miały zostać uwieńczone dobrze zasłużoną nagrodą. Kaktus-Maczuga chciał koniecznie po raz pierwszy zakwi-tnąć! Nabrzmiałość stawała się coraz większą, grubszą, była zaciekawiającą, zastanawiającą, imponującą na koniec! Gdy osiągnęła kształt dość dużej kulki, poczęły się teraz dziać osobliwe rzeczy . . . Kulka niby przygarbiła się nieco, następnie jakby opadła cośkolwiek, po czym jęła się wydłużać najwyraźniej! W miejscu wydłużonej jakby kiszki zjawiła się gruszkowata opuchlina, a ta gwałtownie znowu poczęła przybierać na przestrzenności. Nie był to atoli jeszcze kres arcypomysłowych metamorfoz kaktusa-maczugi. Gruszkowato-walcowa bania zwęziła się raptownie na jednym z końców w rodzaj pokaźnej szypułki, na drugim zaś jął się wyraźnie odznaczać kolor ciemnobrązowy z głęboko-zielonymi cieniami biegnącymi ku szypułce. Myślałby ktoś, że tak wytworzony pączek, lada chwila rozwinie się. Tymczasem kaktus dalej dręczył hodowcę. Zieleń z końca pączka znikała powoli, bladło też brunatne zabarwienie „kitki“, a na miejscu ustępujących kolorów przeglądnęła niezdecydowana biel, rozszerzająca się wolno ku szypułce. Jeszcze kilka dni biała barwa pączka nabierała nienagannej czystości alabastru, aż nagle jakby zmatowiała. I oto na sekundy nieledwie można było liczyć odtąd sam przebieg rozkwitania. Od leciuteńkiego niby nadpęknięcia pączka do pełnego rozwinięcia się wspomnianego kwiatu nie minęło więcej nad 15-cie minut! Na tym dziw kwitnienia kaktusa peruwiańskiego zakończył się.

W jasnej bieli kwiatowego kielicha tkwił słupek, wychylając się z długimi pręcikami z płatków korony. Szkoda, że kaktusy tak krótko bardzo stoją w krasie swego kwiecia. Maczuga spod peruwiańskiego nieba tak rzadko do tego rozkwita . . . Łat dziesięć, to szmat czasu i doli. Ale prawa natury są ponad wolą i pragnieniami istot żywych, dla których nieraz pierwszy rozbłysk bywa zarazem i ostatnim . . .

Powyżej i na prawo:
Powoli rozwija się pączek i z dnia na dzień staje się większy ku uciesze właściciela.

Na lewo:
Z dużym zainteresowaniem obserwuje miłośnik kaktusów rozkwitanie kwiatu, który już po kwadransie osiągnie pełnię swego rozwoju.

Powyżej i na prawo:
Powoli otwiera się kielich kwiatu. Listek po listeczku odchyla się zwolna, aż w końcu zalśni kwiat w całym swym uroku.

Fot: Dr. Schmidt-Schaumburg

Powyżej:
W całej wspaniałości i krasie lśni kwiecie i wynagradza pięknym wyglądem wszystkie trudy, jakie właściciel poniósł koło jego pielęgnacji.